Nr. 44. Lwów, Niedziela dnia 31. Października 1875 r. **Rok II.**

TYDZIEŃ

LITERACKI, ARTYSTYCZNY NAUKOWY I SPOŁECZNY.

TOM II.

PRENUMERATA we LWOWIE
We wszystkich księgarniach, po cenie: rocznie 14 złr. półrocznie 7 złr. kwartalnie 3 złr. 50 cnt.
PRENUMERATA na PROWINCJI:
We wszystkich księgarniach i urzędach pocztowych: rocznie 17 złr. 60 cnt. półrocznie 8 złr. 80 cnt. kwartalnie 4 złr. 40 cnt.
W KRAKOWIE główny skład w księgarni **D. E. Friedleina.**

Wydawca i redaktor **A. J. O. ROGOSZ.**
Biuro Administracji i Redakcji:
Ulica Halicka l. 52.

Dla W. Ks. POZNAŃSKIEGO główny skład w księgarni **J. K. Żupańskiego** w POZNANIU.
PRENUMERATA w POZNANIU:
Rocznie 28 m. półrocznie 14 m. kwartalnie 7 m.
NA PROWINCJI:
Rocznie 34 m. półrocznie 17 m. kwartalnie 8 m. 50 f.

LUŹNE UWAGI.

XLIV.

Pensjonaty żeńskie.

II. Zadanie pensjonatu musi objąć, jak najtroskliwsze pielęgnowanie zasobów moralnych panienki, przyniesionych doń z domu rodzicielskiego, rozwijanie takowych i uzupełnianie za pomocą nauki. We wszystkiej w tym kierunku działalności — jeden cel rozwijać się musi, a tym jest: usposobienie, uposażenie pupilki do życia, jakie jej natura wskazała, do życia domowego, do kierowania domowem ogniskiem, w którem kiedyś jako żona, matka i gospodyni, niejako wszechwładną będzie królową. W tym względzie pensjonat obejmujący na siebie obowiązki rodziców, ogromną przyjmuje odpowiedzialność, podejmuje się sprawy arcytrudnej, a wielkiej. Młodzieniec ukończywszy szkoły, wynosi znich materjał niejako surowy do życia, a świat urabia w nim szkolne zasoby. Za progiem akademji, czeka młodego człowieka szkoła doświadczeń, świat szeroki wyzywający go do walki z życiem, w której hartują się siły, kształtuje charakter, wytwarza mężczyzna z młodzieńca. Dość było zrobionem dla niego, gdy go pedagog w dobry i obfity materjał zasad moralnych i wiedzy uposażył, gdy mu dał pojęcie obowiązków człowieka, obywatela, gdy mu na pierś — jakby zbroję stalową, włożył odwagę i wytrwałość, a naukę i szlachetność na kształt miecza w dłoń podał. Tak uposażony, i uzbrojony młodzieniec, obiega świat, doświadcza, przerabia się w mężczyznę, i przebywszy ową szkołę doświadczeń, szuka miejsca, szuka bratniej duszy, by wytworzył dla siebie domowe ognisko, by rozwinął życie rodzinne, by miał gdzie złożyć zdobycze swej pracy, swojego życia.

Dla panienki po za pensjonatem, nie ma tej szkoły doświadczeń; przeciwnie w pensjonacie znaleść ją musi jedynie, bo pensjonat zastępuje tu dom rodzicielski, zastępuje wszystko, czem matka z córką podzielić się może. A to, co chłopiec dorosły śród świata sobie zdobywa, panienka zyskuje, patrząc na przykład, na wzór życia domowego, na tę działalność swej matki, drobną na pozór, a jednak tak wielką, bo szczęście rodziny tworzącą. Rozgrzać się, rozpłomienić muszą umysł i serce dziewczęcia przy serdecznem cieple domowego ogniska, aby kiedyś kobieta z dziewczęcia wyrosła, rozrzażać i utrzymywać je umiała. Dom rodziców, to jedyna szkoła życia panienki. Między nim, a domem męża nie ma dla kobiety przestrzeni do przebycia, nie ma nic pośredniego, więc to wnosi w dom męża, czem ją wychowanie w domu rodziców uposażyło — sama nic zyskać, nic zagubić nie mogła.

Środki edukacyjne, muszą być zastosowane do natury, do gleby intelektualnej i moralnej. Matka samą już miłością macierzyńską wiedziona, rozpozna się łatwo z naturą dziecka i wie co i jak w jego duszy uprawić należy i wsłucha się łacniej w tę muzykę serca i duszy, o której mówiliśmy poprzednio, zrozumie te dźwięki, a pilnie śledzi, czy ton fałszywy nie mąci harmonji. Matka, w obec swych córek, ma wszelką łatwość rozwinąć swem postępowaniem wzór dla nich, jak należy spełniać obowiązki żony, matki, gospodyni. Między nią, a córkami, nie staje nic przegrodą; żaden interes uboczny, obojętność, niewłaściwość i t. d. nie zasłaniają wzorów przed córkami. Z drugiej strony sama natura, samo przywiązanie do rodziców, interesowanie się sprawami domowemi sprawiają, że córka ubiega się na każdym kroku, by zbierać wzory z matki i ma łatwość przypatrywania się im, a zupełnie naturalny popęd do szukania takowych.

Powtarzamy, dla dalszego nawiązania rzeczy, iż szkołą życia dla chłopca jest: świat, dla dziewczęcia: dom rodziców. Chłopiec uczy się w szkole, ukształca w świecie; dziewczę ukształcić się może li w domu. Czyż pensjonat może zastąpić panience dom rodzicielski, ciepło serca matczynego i jej troskliwość, jej przykłady i wzory?

W pensjonatach znajduje się zwykle znaczniejsza liczba panienek, z których każda inne przynosi z sobą usposobienie, inne zasoby moralne, inne skłonności, a wszystkie te natury obok siebie postawione, podpadają jednemu prawu pedagogicznemu, jednemu systemowi, jednym środkom edukacyjnym, wymierzanym na zimno, szablonowo, z rutyną. To ujęcie rozmaitych, różnorodnych indywidualności, pod jeden strychulec formuł pedagogicznych musi szkodliwie wpływać na młode serca, na rozkwitające umysły, bo nieunikniona konsekwencją zaciera samodzielność, a tworzy konwencjonalizm.

Pensjonat nie może z serca i duszy panienek wysnować wrodzonych im skłonności, usposobień, i te przetworzyć na domowe cnoty — lecz pojęcie ich ogólne, teoretyczne, podaje w formie nauki. Ztąd też charakter panienki nie wytwarza się według wrodzonych sobie pierwiastków, nie zabarwia się naturalnym swym kolorem — ale przyjmuje barwę narzucaną sobie, ogólną, konwencjonalną, cudzą i sztuczną.

Obok tego, nie można wymagać, aby pensjonat mógł owiać prawdziwem ciepłem życia rodzinnego, bo już sama ruchliwość w nim, ciągła zmiana pupilek, nie dozwala — aby się w nim uprzędły nici jakieś serdeczne, splatające pupilki z zakładem i między sobą. Właścicielka pensjonatu, nie może żadną miarą znaleźć dostatecznej sposobności, aby w miejsce matki, przykłady i wzory z siebie pupilkom podawać mogła. Życie jej domowe, rodzinne, musi koniecznie odgraniczyć się, oddzielić zupełnie od pensjonatu, musi dla panienek zostać po za kulisami. W tem też największy niedostatek środków edukacyjnych pensjonatu, że panienka nie widzi w nim życia praktycznego, codziennego, że nie zbiera doświadczeń, przykładów i wzorów z rodzinnego życia, że się nie uczy tego kapłaństwa, jakiem jest służba kobiety około domowego ogniska.

To podciągnięcie różnorodnych usposobień pod jednę miarę kierunku edukacyjnego w pensjonacie, wytwarza z czasem zmanierowanie. Panienka nie umie być sobą, nie nauczono jej posługiwać się tem wszystkiem, czem ją Bóg uposażył — a podano jej, stawiono przed oczy formuły pewne, w które ręka pedagoga ją wciska, i oto w tych formułkach przerobiona, przestała być sobą samą, przyswaja sobie jakąś idealną indywidualność, wynaturza się i popada w manierę.

Najważniejszą rzeczą w edukacji panienki, jest — jak sądzimy, wykształcić, uzacnić, rozwinąć serce. Powiedzielibyśmy, że serce jest panienki, duszy kobiety, jak rozum duszą duszy mężczę, rozwi- Serce, sercem się kształci; a możnaż spodziewać się go tam, gdzie go natura nie dała? możnaż nabyć je dla siebie, sztucznie zakupić? — Pensjonat nie może dostatecznie rozwinąć ukształcenia uczuć, nie może skierować ich dostatecznie ku życiu rodzinnemu.

A jeszcze i to na uwagę wziąć się godzi, że w takiej licznej gromadce różnorodnych żywiołów, nietrudno o panienkę o zaniedbanem wychowaniu domowem, która przynosi z sobą zarodki zepsucia, spaczonych myśli i uczuć. Rzucone śród pensjonatu, tworzą ferment zepsucia moralnego, które właściwym sobie sposobem, tai się skrzętnie przed okiem pedagoga i dopiero po zdziałaniu nie jednej szkody moralnej, ujawnia.

Tych kilka myśli podsuwamy uwadze interesowanych, lecz wykazując ujemne strony pensjonatów, jako instytucji, winniśmy dodać dwie jeszcze uwagi. Pierwsza: że o ile w ogóle widzi nam się instytucja pensjonatu jako *malum necessarium*, o tyle przyznać musimy, zdarzają się wypadki, że staje się ona *bonum necessarium*.

Jakże to często zdarza się, że panienka w domu rodzicielskim, pozbawioną jest wszelkiej sposobności nabycia tego wszystkiego, czego w normalnych stosunkach od matki nabywaćby powinna, a cośmy wyżej wykazali. Ileż to matek nie może, lub nie chce spełnić swoich edukacyjnych w obec córki obowiązków, a ileż takich, któreby nie mogły snuć z siebie wzorów i przykładów życia rodzinnego dla córki! Są to atoli na każdy sposób wypadki wyjątkowe, a wyjątki sprawy nie rozstrzygają.

Powtóre czujemy się w obowiązku wyznać, że bywają pensjonaty, w których właścicielka ich, kierowniczka, osobistością swoją, poświęceniem, namaszczeniem niejako kapłańskiem, uzupełnia niedostatki z natury instytucji wypływające, a pensjonatowi umie nadać charakter i ciepło kółka rodzinnego. To jednakowoż od osobistości zależy — a myśmy o pensjonatach, jako o instytucji mówili, pełni doświadczenia, że osobistości takie, są wyjątkami. Pozwolilibyśmy sobie w końcu nadmienić, że troskliwym o dobro córek rodzicom, na tem zależeć powinno, aby takiego dla nich szukali pensjonatu, gdzie imię właścicielki i kierowniczki, daje dostateczną rękojmię. Nie chodzi tu o to, aby panienka w pensjonacie nauczyła się biegle szermierzyć francuskim językiem, bo to nie stanowi jądra edukacji. W Niemczech nie ma suberetki, któraby najbieglej po francusku nie mówiła, a jednak nie można ich za wykształcone poczytać. Niech rodzice troszczą się o to przedewszystkiem, aby córka uposażyła się w te główne cnoty, na których opiera się szczęście rodzinnego życia, aby pensjonat w zastępstwie rodziców, dał jej przedewszystkiem wiedzę i poczucie, jak należy być dobrą żoną, matką, panią domu. Pensjonat zaś w takim razie zadanie to spełni, jeżeli jego kierowniczka będzie umiała ciepłem własnego serca, zacnością charakteru, wybitnym talentem i cnotą obywatelską uzupełnić niedostatki, zatrzeć wadliwości instytucji pensjonatów.

CHRZEST POLSKI.

wieść ze zdarzeń ostatnich, w trzech częściach

przez

J. Dzierzkowskiego i Wł. Sabowskiego.

(*Ciąg dalszy*).

XII.

Podczas gdy ojciec z synem oddawali się nadziejom najświetniejszym, kałamaszka rotmistrzowska była widownią innej rozmowy. Bartłomiej i Stanisław pod wpływem uczuć silnych, rozbudzonych przemową rotmistrza w sali przodków marszałka Szóstackiego, rozmawiali o przyszłości. Obaj pełni szczerego i serdecznego zapału, przywiązani do ojczystego kraju z tym entuzjazmem niezrozumiałym dla obu Szóstackich, a który w nich był niezłomną wiarą w przyszłość narodową, i był podniesieniem ducha zbiorowego narodu całego aż do najwyższej idei ofiary i poświęcenia bez granic, obaj mogli się rozumieć, i rozumieć doskonale.

— Więc panie bratku!... czy tak czy siak! — mówił Bartłomiej, bakierując jeszcze więcej czapkę z zawiasami — ale hasło dane...

— Mimo wszelkiej pracy organicznej, która się stara zyskać czas, długo powstrzymać się nie da!... U inteligencji, pomiędzy szlachtą i w miasteczkach Kongresówki przemaga zapał!

— Czy tak czy siak, panie bratku!... czy tak czy siak... Ja w mojej Zahajpolszczynie ręczę za pięćdziesięciu przynajmniej...

— W Gradowcach i w trzech jeszcze miasteczkach powiatu naszego, rachować mogę na kilkudziesiąt—do stu. W garbarni mam zakopanych dwieście karabinów, które mi się udało poskupywać i sprowadzić pomału. Mortko żydów obrabia!... i ma już zapewne kilku bogatszych kupców, którzy dadzą pieniądze... Mam porozumienia z Wołyniem!... tam także pomiędzy szlachtą wre...

— Czy siak czy tak!...— przemówił Bartłomiej głosem wesołym, i musiał poprawić czapki, która już mu zlatywała z lewego ucha.

— Nieprawdaż, rotmistrzu? — dodał zwrócony do rotmistrza, zdziwiony nieco jego długiem milczeniem.

— W boskim ręku sprawa nasza!...

— Czy tak czy siak, panie bratku!...

— Idzie tylko o to, czy ten duch czysty poświęcenia, jaki was przejmuje, moi młodzi przyjaciele, stanie się duchem powszechnym?..

— Rotmistrzu! — przerwał Stanisław, który się już dłużej nie mógł powstrzymać, — naród, którego starce takiem młodem sercem czują, i takim młodym mówią językiem, naród taki jest nieśmiertelny!...

— Amen, panie bratku...

— Jeżelim milczał słuchając was — mówił znowu rotmistrz po krótkim przestanku, — jest i ta przyczyna, że ta narada u marszałka zasmuciła mnie nieco.

— Zapał przy końcu najlepiej dowiódł!

— U nas nie trudno o zapał, trudniej o wytrwałość!...

— Ależ panie rotmistrzu, i marszałek i syn jego nawet zanadto się już jasno wyrazili...

— Jabym wolał, żeby się byli wcale nie wyrazili!... Nie znacie tych ludzi tak jak ja!... Tych ludzi egoizm, to gangrena naszego społeczeństwa!... Wolałbym ich mieć otwartymi przeciwnikami! Wolę otwartego wroga, niżeli przyjaciela dyplomatę!... Ale wiele o tem gadać! a tu już rozstajne drogi...

I w samej rzeczy, po serdecznem pożegnaniu, pan Bartłomiej zarumieniony zapałem co wrzał w nim, przeniósł się na swój wóz drabiniasty.

Gdy został sam na sam z rotmistrzem Stanisław, przypomniał sobie rozmowę z Konstancją. Prawego to i dzielnego serca był młodzieniec, kochał Konstancję, odkąd siebie zapamiętał, kochał namiętnie. Ale nadto miał szlachetne zasady, by w tej okoliczności nie być tem więcej surowym w ocenieniu praktycznem własnego położenia. I dlatego, mimo serca bijącego miłością, która go zniewalała do szczerej otwartości, nie wiedział jak zacząć rozmowę. Chciałby się poświęcić dla szczęścia Konstancji ubóstwianej; lecz jak to uczynić? Sam rotmistrz poddał mu sposobność do zaczęcia rozmowy.

— Mówiłeś już z Mortkiem?...

— Jutro będzie u sprawnika... Trzeba z nim ukończyć jak najprędzej, tak dla bezpieczeństwa naszych przygotowań organizacyjnych, jak i dla spokojności panny Konstancji, którą pretensje jego niegodziwe...

— Straszą!... — nie ma się czego bać... jeszcze ja żyję, będę miał tyle czasu, aby Konstancję ubezpieczyć...

Gdy mówił te słowa, lekkie westchnienie wyrwało się z piersi starca...

— I mówiła ci o tem Kostunia?... — dodał po chwili, wpatrując się z uwagą w niego...

— Prosiła mnie nawet... o radę!...

— Ciekawym coś poradził?... czemuż nie mówisz! jaka rada twoja?... — dodał, wpatrując się w młodzieńca coraz uważniej.

— Moja rada.... jest...

Tu Stanisław westchnął, lecz wnet zaiskrzyły mu się oczy szlachetnym zapałem, połknął westchnienie, i mówił dalej choć drżącym ale stanowczym głosem:

— Trzeba od razu niemożliwemi uczynić pretensje i zabiegi sprawnika...

— A to w jaki sposób?...

— Wydaniem za mąż panny Konstancji!...

— Wydaniem za mąż!... dalibóg że prawda!... i za kogoż to radziłbyś?...

— Za pana Artura!... Że się o jej rękę stara oddawna, to przecież dawno rotmistrz musiał zauważać...

— A tak!... za Artura!... małżeństwo stosowne!...

— I w tym związku najlepsza byłaby rękojmia, że pan Artur wraz z ojcem wiernymi zostaną naszej sprawie....

— Masz może i słuszność!.. lecz zostawmy to na później!... Ja dziś w nocy wyjadę jeszcze...

— Dziś w nocy?... — zagadł Stanisław zdziwiony.

— Tak jest, na dni cztery czy pięć!... jak wrócę, uradzimy coś stanowczego!... a

tymczasem staraj się negocjacje przeciągnąć przez Mortka z sprawnikiem jak najdłużej!... przyrzekajcie mu złote góry... co chcecie!... byle był cierpliwy... Za tydzień!...

— Jak przyjadą panowie Szóstaccy — przemówił Stanisław mimowolnie.

— Tak jest! za tydzień ukończę wszystko.

Stanisław zamilkł.

Wkrótce też zajechali przed stary dwór. Stanisław miał twarz na pozór spokojną, choć mu w piersi drżały bez ustanku dwa tylko słowa:

— Stało się!... stało się!...

Poświęcenie było dokonane!... Miał nawet tyle siły nad sobą, że z uśmiechem na ustach stanął przed Konstancją, która go wyciągnęła na przechadzkę, i znalazł jeszcze słowa, by ją uspokoić, i wytłumaczyć, że dziadek przy pierwszych słowach przerwał mu, i stanowcze rozwiązanie trudności wszystkich odłożył do powrotu z tej jakiejś tajemniczej podróży. Konstancja nadto była pewną siebie i swego postanowienia, aby się nie uspokoić. Rzekła tylko z uśmiechem, pół swawolnym, pół czułym:

— Kochany Stanisławie! ja nie chcę byś w walce z wrogiem był takim tchórzem, jakim jesteś w walce o moją rękę!... Ale zato ja mam odwagę i za siebie i za ciebie i ta ręka będzie twoją!...

Z rozpaczą w sercu tem większą, że ją musiał taić i pokrywać pozornym spokojem, odszedł Stanisław.

Rotmistrz zebrawszy jakieś papiery, wyjechał wieczorem, powiedziawszy wnuczce na pożegnanie:

— Jadę w ważnym pieniężnym interesie.

XIII.

Wspominaliśmy już kilka razy o żydzie Mortku, z którym wypada się nam bliżej poznać, tem więcej, że niemałą ma on teraz w opowiadaniu naszem odegrać rolę, jako wysłannik w ważnej sprawie. Jak wiemy bowiem, ma on rozpocząć układy ze sprawnikiem, mające zniweczyć znane już nam zamysły Pawła Onufryjewicza Flidersa.

Mortko był z ojca i dziada arendarzem w majątku Gradowskich. Jako taki, był on typem bardzo zwyczajnym na naszej ziemi żydów siedzących po karczmach, i wyzyskujących chłopa za pomocą tego nieszczęśliwego nałogu wieśniaków naszych do zabójczego trunku. Przywiązany do miejsca, w którem mu się dobrze dzieje, część tego przywiązania egoistycznego przenosi on i na dziedzica, uważając go w części, jako część kapitału przez niego wyzyskiwanego. Przywiązanie to nie rozciąga się tak daleko, aby nie okpił dziedzica, gdy mu się nadarzy sposobność; ale go czyni z drugiej strony pożytecznym w części opiekunem tego dziedzica; pilnuje bowiem jego dobra jako dobra własnego, by inny go nie wyzyskiwał; pilnuje by go broń Boże obcy nie okpiwał. Taki żyd arendarz bywa do dziedzica w stosunku niejako właściciela do krowy, który wydaja ją jak może najzupełniej, ale przestrzega, by mu krówki kto inny nie poddajał. W tej mierze Mortko był żydem i nic więcej. Mimo to wszakże miał on jeszcze inną, typową stronę, o której się pokrótce rozpiszemy. Był on rzeczywiście przywiązanym do ziemi, na której się urodził; był w tej mierze Polakiem. Podstawą tego uczucia narodowego, był zapewne egoizm, i wynikające z niego wyrachowanie. To przywiązanie do kraju ojczystego wyrabiało się ogólnie między żydami mieszkającymi w prowincjach polskich berłu moskiewskiemu podległych, w miarę ucisku okropnego, i niesprawiedliwości prawnych i nieprawnych bez liku, jakich doznają pod rządem moskiewskim. Moskal jest żydów i Polaków wspólnym i bezlitośnym wrogiem; rozumieją to żydzi, i nienawiść ich do Moskali wyradza się w rodzaj sympatji do Polaków, z którymi prócz tego stosunki są im nadzwyczaj korzystne. Lecz w Mortku to przywiązanie dochodziło do tąk niezwykłych rozmiarów, że gotów był nawet do poświęceń znacznych dla sprawy polskiej, a nawet dał się używać — jak to już napomknął Stanisław — za czynnego w tej sprawie ajenta, co go mogło wystawić na prawdziwe i wielkie niebezpieczeństwa. To uczucie wyrobiło się w nim w sposób dosyć ciekawy, w jego kółku rodzinnem.

By się zapoznać z tem kółkiem rodzinnem, trzeba nam na kilka chwil wstąpić do karczmy, którą głównie zamieszkiwał. Mortko konstantynowski, jak go nazywano od miasteczka Konstantynowa, zkąd wyszedł przed wiekiem może dziad jego, właściwie nigdzie nie mieszkał, albo raczej mieszkał na wózku, którym się ciągle przejeżdżał trzymając arendę w Zaskalu, Gradowcach i Łaszczyńcach, i prowadząc prócz tego handel wołami, które wypasał na ogromnych pastwiskach zaskalskich. Główną jego kwaterą wszakże była wielka karczma, należąca do Zaskala, i zwana „Rozdroże," dlatego że stała właśnie na trakcie pocztowym krzyżującym się przy niej z drugim, bardzo ożywionym traktem handlowym, z Wołynia przez Podole ciągnącym aż ku Ukrainie i Bessarabji. Karczma była obszerna, porządnie do zajazdu urządzona, i mocno uczęszczana, tam bowiem ciągnęły zwykle wszystkie furv i budki żydowskie, i tam nawet spieszyły szlacheckie powozy na popasy i noclegi, bo w całej okolicy, ba nawet w całej guberni —jak mówił sam Mortko z upodobaniem — słynna była czysta i smaczna kuchnia Ryfki, córki Mortka. I wrzeczy samej karczma Rozdroże odznaczała się nadzwyczajną czystością i niezwykłym po naszych staropolskich traktach, żydowskim wprawdzie, ale zawsze komfortem.

Rodzina Mortka była bardzo liczna. Prócz dwóch synów, z których jeden kupczył w Berdyczowie, a drugi aż w Odesie, miał w domu dwie córki, z których jedna wdowa, była ową sławną Ryfką, a druga Sura, przy ojcu mieszkała z mężem Ickiem, który się właściwie samym tylko zajmował szynkwasem i drobnemi finansowemi operacjami chłopskiemi. Po jednej i po drugiej córce było mnóstwo bachurów, a więc i krzykliwy i wiecznie rozkiwany i rozmamany belfer. Była jeszcze i Basie, stara żona Mortkowa, stara żydowica, która się już tylko nabożeństwu oddawała, i miała jedynie pod swoim zarządem szlachetniejsze trunki, jakoto: wina, miody, wiśniaki itd. na których nie brakowało w zamożnej karczmie, i do których miała osobnego miszuresa, Jankla, dalekiego krewnego. Cała ta rodzina była czysto żydowska, i nic więcej o niej nie było do powiedzenia, prócz tego, że miała w obszernej karczmie swoje dwie izby odrębne, gdzie panował samodzielnie nieporządek betowy, bachurowy, krzykliwy, cuchnący, brudny, prawdziwie tradycyjny, i gdzie się znajdowała zwykła szynkowa dla chłopów izba. Mortko z żoną mieszkał w izbach dwóch osobnych, do których przyszedłszy, zdumieć trzeba było nad czystością i porządkiem tem dziwniejszym, że w ładzie całym przebijało coś niezwykłego u żydów, bo prawie artystycznego. Były i czyste firanki i kwiaty, i sofy porządne, i stoliki polituro-wane... lecz to się zdarza u żydów. Ale co się nie zawsze zdarza, to wiszące po ścianach obrazy. Zamiast tych zwykłych bohomazów z wiosną i innemi porami roku, z żydowskim Józefem itd. były ryciny nowsze w złotych ramach, ryciny z dziejów polskich. A w drugiej izbie oddzielonej białą jak śnieg pięknie udrapowaną firanką od sypialnej alkowy, z większem jeszcze zdumieniem spostrzedz mogłeś najlepsze ryciny, przedstawiające same znakomitości polskie, polskich wieszczów od Adama zacząwszy aż do Zygmunta, polskich uczonych, i polskich jenerałów. Pomiędzy rycinami, jakby w ich ramy ujęty, na miejscu najwydatniejszem, był portret olejny przedstawiający Kościuszkę w chłopskiej sukmanie, nie jak go zwykle malują z wzniesionym do góry orężem, ale z kosą w ręku. Pędzel był wcale niezły, pełen młodzieńczej świeżości, a nawet fantazji, odbijającej się z pewnym wdziękiem w oświetleniu jaskrawem ogniska obozowego, którego główne promienie padały na twarz polskiego bohatera, i w części na widne z dali na pół w mgle nocnej niknące wieże starego grodu krakowskiego, i mury królewskiego zamku. Tuż pod Kościuszką wisiał mniejszy obraz, widocznie tegoż samego pędzla, przedstawiający krwawą walkę i ginącego pod Kockiem pułkownika Berka.

Zkąd do takiego przystrojenia karczmy przyszedł Mortko konstantynowski, darmoby łamał sobie głowę obcy przybysz, któryby nie wiedział, że ta karczma mieściła jeszcze jednego mieszkańca, o którym dotąd nie wspominaliśmy. Był nim wnuk ulubiony Mortka, którego zwano w rodzinie Józefem, mimo całej ochoty nazywania go Joslem, bo jak wnuczek raz przytem obstał najdobitniej, dziadek przywiązany wydał rozkaz kategoryczny, by tak a nie inaczej go nazywano.

— Niech będzie mu Józef! — powiedział Mortko.

— On taki śliczny Józef! — powiedziała babka, która tak go sercem kochała, że ledwie oczami nie zjadła.

— Wun taki mądry!... mądrzejszy od tamtego Józefa, co o nim nasze stare pisma piszą! — powiedziała cała rodzina.

I został Józefem konstantynowskim.

Był on synem najulubieńszej córki Mortka, Esterki, która już dawno umarła, a o której gdy Mortko i Basia kiedykolwiek mówili, to się zawsze spłakali, i zawsze odłożyli kilka rubli na ubogich chrześcijan.

(C. d. n.)

*

Wspomnienia z Włoch

od 1864 do 1867 r.

Zanotował

Józef Rogosz.

(Ciąg dalszy.)

VII.

Rządy papieskie.

Mówić o jedności włoskiej, o królu Wiktorze Emanuelu, który ją urzeczywistnił, a nie wspomnieć choćby pobieżnie o rządach papieskich i burbońskich, które najwięcej przyczyniły się do szybkiego zbudowania tej jedności, znaczyłoby lekceważyć objaw tkwiący w loice natury i dziejów, którym jest fakt, że co raz utraci rację bytu, to żadnemi już środkami nie zdoła się utrzymać, a nawet środki, których się ima dla własnego zbawienia, wychodzą wręcz na jego szkodę i przyspieszają mu zgubę. Jest to może fatalizm, przeznaczenie, konieczność, prąd czasu, *siła rzeczy* jak Francuzi utrzymują — ja o wyrażenia wcale się nie sprzeczam — dość, że prawdą być nie przestaje, iż taka loika istnieje. Kto jej nie widzi i w rachubę nie bierze, nie może być ani dobrym dziejopisem, ani trzeźwym mężem stanu.

Nie widzieli jej Papieże i Burboni i dla tego runęły ich trony.

Lud włoski domagał się swobodnych ustaw, a Rzym i Neapol odpowiadały na to rusztowaniami. Szalone wybryki tyranji, wyszły atoli na niekorzyść ich sprawców, bo naród burzył się jak wulkan tłumiony, a gdy raz wybuchnął, nie było już ratunku. Austrja panująca na północy była znienawidzoną, ale stokroć mniej jak Papieże i Burboni. Tamtej nie cierpiano jako monarchji obcej, która gwałtem ujarzmiała lud nie będący jej naturalną własnością; tych natomiast nienawidzono i równocześnie gardzono nimi, ponieważ oba te rządy były uważane za rodzinne, które własnych braci tyranizowały. Łatwiej przebaczymy krzywdę wyrządzoną nam przez obcego, jak przez członka naszej rodziny. Dla tego to Austrji Włosi już dziś przebaczyli, a Papieżom i Burbonom nigdy nie przebaczą.

Gdy w jesieni r. 1866 zaopatrzony w legalny pasport, na którym był podpis ambasadora hiszpańskiego, przejeżdżałem granice państwa kościelnego, pociąg nasz stanął, poczem komisarz policji w asystencji dwóch żandarmów papieskich zaczął przeglądać papiery wszystkich podróżnych, patrząc każdemu bystro w oczy, ażali nie odkryje jakiego massona lub wysłannika komitetu rewolucyjnego. Po opatrzeniu pasportów olbrzymiemi pieczęciami, za co trzeba było zapłacić, wręczono nam je napowrót, ale zaledwie stanąłem we wiecznem mieście, właściciel hotelu znowu mi go odebrał i odesłał na policję, gdzie miał leżeć aż do dnia mego wyjazdu. W Rzymie zamierzałem spędzić tylko jeden miesiąc; ale ponieważ ten grobowiec cywilizacji europejskiej jest zbyt olbrzymim, zbyt ciekawym i pięknym, przeto u schyłku czwartego tygodnia przekonałem się, że potrzebuję jeszcze przynajmniej dwóch miesięcy, zanim poznam go tak, jakbym powinien. Udaję się zatem na policję w celu uwiadomienia stróżów publicznego bezpieczeństwa o moim zamiarze. Usłyszawszy to naczelnik biura odpowiedział, że w takim razie muszę pójść do ambasady hiszpańskiej, aby mój pasport przedłużyła o dwa miesiące. Właśnie gdym wychodził, jeden z niższych urzędników zamknął mi drogę.

— Co pana do Rzymu sprowadziło? — zapytał szybko, świdrując mnie małemi, siwemi oczkami.

— Interesa.

— Jakie?

— Z moim przyjacielem mam się tu zjechać... A zresztą...

— Cóż zresztą?

— Zresztą poświęcając się sztuce, chciałem poznać rzymskie galerje i muzea.

— Zapewne poznałeś pan także artystów?

— Kilku.

— Których?

Rozmowa w ten sposób prowadzona trwała pięć minut. Ajent zadawał mi pytania szybko, a ja jeszcze szybciej odpowiadałem. Szczęście może, że nie miałem żadnej politycznej misji do spełnienia, bo wtedy kto wie, czy pod naciskiem pytań tak szybkich i wzroku tak przeszywającego, nie byłby się zmięszał i powikłał. A za to albo byłbym poszedł do twierdzy św. Anioła, albo w najlepszym razie jako cudzoziemiec byłbym był musiał natychmiast Rzym opuścić.

Uzyskawszy przedłużenie pasportu, za co trzeba było zapłacić, i złożywszy go ponownie w policji, odebrałem go dopiero w dniu wyjazdu na dworcu kolei żelaznej. Byłem pewny że ostrożności policyjne na tem się skończą. Gdzie tam! O północy, gdy nasz wóz pocztowy przejeżdżał granicę włoską (kolei za Civittavecchią wtedy jeszcze nie było) musiałem znowu pokazać pasport żandarmom i znowu się opłacić. Dopiero na terytorjum królestwa włoskiego skończyły się rządy policyjne.

* * *

Pięknym był Rzym papieski! Pięknym mimo tysięcy księży i zakonników snujących się po wszystkich ulicach; mimo tłumów żebraków, którzy przechadzali się z ogromnemi medalami na piersiach, na znak, że opłacając podatek, mogą jako stan uprzywilejowany żebrać swobodnie; mimo spotykanych ciągle żuawów papieskich, którzy zaciągani za pieniądze po całym świecie, podtrzymywali bagnetami tron Piusa IX; mimo nakoniec atmosfery dusznej, policyjnej, która nad Rzymem jak zmora wisiała. Rzym w latach, w których ja go zwidzałem, nie mając handlu, ani bawiąc się przemysłem, był miastem cichem i zaniedbanem — ale właśnie w tej ciszy i w tem zaniedbaniu leżał jego urok największy. Co krok spotykałeś pamiątki olbrzymiej przeszłości, a w spokoju duch twój skupiał się i odtwarzał czasy dawne, pełne rozumu, gwaru, krwi i tryumfów!

Dziś zmieniły się stosunki. Rzym stary, konserwatywny, smutny, papieski znikł, jak na świecie znika wszystko!

Pragnący coś nowego zobaczyć i czegoś się nauczyć, mógł w nim spędzić długie lata i na nudy nigdy się nie poskarżyć. To też nie dziwiłem się dwóm młodym Polakom, artystom z powołania, którzy na rok przyjechawszy do wiecznego miasta, siedzieli już z okładem lat dziesięć, gdym ich poznał. Ale aby tak długo siedzieć, trzeba się było poświęcić wyłącznie sztuce lub nauce. Kto sobie nie obrał takiego celu, kto prócz sztuki i książkowej nauki, lubił także zaglądać w księgę życia narodów, ten przypatrzywszy się rządom papieskim i zabobonemu pospólstwu rzymskiemu, które widząc przejeżdżający powóz kardynalski, padało na kolana z okrzykiem: *Santissima carrozza! Santissimi cavalli!* (najświętszy powóz! najświętsze konie!) a mimo to było stokroć bardziej zdemoralizowane, aniżeli którekolwiek pospólstwo na świecie — ten, powtarzam, po dwóch lub trzech miesiącach uciekał, a paląc mosty za sobą, powtarzał w duszy powszechnie używane przysłowie: *Chi va a Roma, perde la fede!* (Kto do Rzymu przyjedzie, wiarę utraci).

Raz nad wieczorem siedziałem na Monte Pincio, rozmawiając z dwoma artystami, Polakami. Nadjechał wspaniały powóz, zaprzężony parą olbrzymich karych koni, jakie tylko w Rzymie można jeszcze oglądać; lokaj w stroju z czasów Ludwika XIV otworzył drzwiczki, i z powozu wysiadł kardynał Antonelli ze swoim sekretarzem. Kardynał miał na sobie rodzaj sutanny podbitej czerwowym suknem i czerwone pończochy jedwabne. Żebrak, który właśnie przechodził, zdjął kapelusz i przykląkł. Antonelli przeżegnał go spiesznie, ale bajoka nie rzucił. Gdy się zbliżył do naszej ławeczki, spojrzał z ukosa, ale żaden z nas nie uważał za potrzebne wstawać i kłaniać się człowiekowi, którego znaliśmy tylko z reputacji. Kardynał obrócił się do swego sekretarza, i z naciskiem, tak byśmy usłyszeli i zrozumieli, rzekł:

— *O! liberali!*

Szczęście nasze że w pobliżu nie było żadnego zbira, bo słowo liberał, wymówione przez Antonellego było oskarżeniem i wyrokiem. Gdyby to był jaki zbir usłyszał, tego dnia bylibyśmy się pewnie w kozie przespali.

Bojąc się, by mi kto nie zarzucił stronniczości, nie będę sam dalej charakteryzował rządów papieskich; wyręczy mnie najznakomitszy dziś filozof, który w tym samym roku co ja zwidził wieczne miasto. H. Taine pisze w dziele *Voyage en Italie*, w tomie I. na str. 455:

„Twierdzą, że zajęcie przez Francuzów Rzymu zrobiło rząd papieski gorszym jeszcze niż był pierwej. Pierwej miał jeszcze jakieś względy, zatrzymywał się w pół drogi, gdy chodziło o niesprawiedliwość; teraz oparty na ośmiotysięcznej załodze, nie obawia się już malkontentów. Nikt też nie wątpi, że dzień opuszczenia Rzymu przez Francuzów, będzie ostatnim dniem rządów papieskich. Staram się zdać sobie jasno sprawę z natury wywieranego przez te rządy ucisku. Nie jest on gwałtowny, okrutny, jak ucisk królów neapolitańskich. Na południu, stara tyranja hiszpańska pozostawiła nawyk do okrucieństwa; całkiem inaczej dzieje się w Rzymie. Nikt tutaj nie chwyta znienacka człowieka, aby go zamknąć do lochu, oblewać co rana kubłem lodowatej wody, męczyć i doprowadzić do ogłupienia. Ale jeżeli jest wolnomyślnym i źle u rządu zapisanym, policja schodzi go niespodzianie, zabiera jego papiery, rewiduje sprzęty i uprowadza go z sobą. Po pięciu lub sześciu dniach, rodzaj sędziego śledczego bierze go na konfesatę; następnie idzie przesłuchanie za przesłuchaniem, i tworzy się plika protokołów, która po tysiącznych ceregielach przechodzi wreszcie w ręce właściwych sędziów. Ci rozpatrują się w niej nie mniej długo; nie jeden pozostał w prowizorycznem więzieniu trzy miesiące, — nie jeden sześć miesięcy. Nareszcie proces się rozpoczyna. Ma on być publicznym, ale nie jest nim bynajmniej. Publiczność zostaje za drzwiami, a wchodzą trzej lub czterej słuchacze, ludzie znani i wypróbowani—i to za biletami. Z drugiej strony policja korzysta z wypadków. Piętnaście dni temu, o ósmej wieczór, o dwa kroki od Corso,

zabito dwie osoby w powozie i zrabowano im 100,000 piastrów. Policja nie znalazła winowajców, ale korzysta z tej sposobności, aby wziąć prowizorycznie kilku liberałów pod zamek. Cały świat słyszał o niedawnym procesie, którego akta usunął komitet rzymski. Głównym świadkiem obciążającym była dziewczyna publiczna; oskarżyła ona nie tylko ludzi bywających u niej, ale i innych, którzy jej nigdy na oczy nie widzieli. Opowiadają mi o pewnym młodzieńcu wmięszanym w tę sprawę. Uwięziono go w nocy, osądzono sekretnie i skazano na pięć lat więzienia. Młodzieniec ten przysiągł bratu swojemu w poufnej rozmowie, że nic nie winien. Prawa byłyby jeszcze znośne, ale samowola psuje je i mięsza się tak do kar jak do łask. Nikt też nie spuszcza się na sprawiedliwość, nie chce być świadkiem, nie zarzeka się ciosów noża, nie uważa się za bezpiecznego od denuncjacji, ani jest pewnym, że będzie spał jutro we własnem łóżku i we własnym pokoju. Opłaciwszy się, można się nie obawiać osobistej konfiskaty, ale na miejsce jej przychodzą szykany. Markiz A... posiada wielki majątek w pobliżu Orvieto; przodkowie jego wybudowali to sioło. Mieszkańcy tamtejsi z upoważnienia specjalnego *monsignora* uchwalają podatek gruntowy. Markiz A... musi go zapłacić. Z upoważnienia tegoż samego *monsignora* wytaczają markizowi proces o kawałek gruntu. Jeżeli go wygrają, on zapłaci; jeżeli zaś przegrają, on także zapłaci; ponieważ, jako właściciel całego majątku, z dochodów swoich obowiązany jest pokrywać wydatki gminy. Potrzeba być przyjacielem rządu, chcąc dojść do prawnych należności i czynszów, w przeciwnym razie bowiem dzierżawca może udać głuchego. Takiemi to tysiącznemi drobniutkiemi niteczkami interesu osobistego, rząd papieski trzyma lub przytrzymuje właścicieli i szlachtę.

Nie mniej jednakże i ludzi z *mezzo ceto*: adwokatów, lekarzy, krępują podobne pęta. Zawód ich stawia ich w zależności od wielkiej koterji papistowskiej. Gdyby się okazali liberałami, straciliby najlepszą część swojej kljenteli.— Dalej, wszystkie zakłady wychowania publicznego są w rękach duchowieństwa. W całym Rzymie nie masz jednego kolegjum, lub pensjonatu świeckiego. Nakoniec, policzcie wszystkich protegowanych, żebraków, małych urzędników, starających się o synekury, lub już je posiadających: wszyscy ci ludzie ślepo są posłuszni i przesadzają się w gorliwości; chleb ich bowiem powszedni od tego zależy. I oto macie całą hierarchję ludzi zgiętych, roztropnych, uśmiechających się z miną dyskretną, i gotowych w każdej chwili i rzeczy do poklasku. Hrabia C... zwykł był mawiać: „Postępują tu jak w Chinach. Nie ucinają okrutnie nóg, ale krępują je i odejmują im tak wybornie kształt przewiązkami, że stają się niezdolne do chodzenia.“

A tak, jak jest, być musi i nie może być inaczej. I w tej to okoliczności należy podziwiać logikę rzeczy. Rząd księży nie potrafi być liberalnym. Pojedynczy ksiądz być nim może: świat go otacza, wiedza pozytywna naciska, wreszcie interesa świeckie ostatecznie przełamują przyrodzony kierunek jego umysłu. Ale usuńcie od niego wszystkie te wpływy, oddajcie go samemu sobie, otoczcie go innemi księżmi, powierzcie mu kierownictwo ludzi — a powróci jak Pius VII lub IX do zasad swego stanowiska i potoczy się nieprzeparcie ścieżką swojego stanu. Będąc bowiem księdzem, szczególniej zaś będąc papieżem, posiada prawdę bezwzględną i zupełną. Nie potrzebuje jej oczekiwać, jak my, od zbiorowych refleksyj i przyszłych odkryć wszystkich ludzi; mieszka ona w całości w nim i jego poprzednikach.

Podstawy jej ustalone przez tradycję, ogłoszone w breve'ach, odnowione w encyklikach, szczegółowo wyliczone w „Sumach“ teologicznych, określone aż do najsubtelniejszych szczegółów przepisami kanonistów i rozprawami kazuistów.

Nie masz jednej myśli, lub uczynku ludzkiego, któryby nie był określony, uklasyfikowany, nazwany w wielkich księgach, których ksiądz ten jest obrońcą i dziedzicem. Więcej jeszcze,—nauka ta jest żywą. Skoro raz wejdzie do duszy jego i zostanie przezeń wypowiedzianą, wszystkie wątpliwości upaść winne. Bóg stanowi w nim i przez niego. Najmniejsze przeciwieństwo jest buntem, a bunt w tym razie świętokradztwem.

Pierwszym tedy w pojęciu jego obowiązkiem, jest posłuszeństwo. Badanie, sąd osobisty, nawyk do inicjatywy — to grzechy. Człowiek winien dać się prowadzić, zdać się na ręce, jak małe dziecko. Rozum jego i wola nie istnieją już w nim, ale w drugim, którego przeznaczono z góry do tego zastępstwa. Ten jest jego... *dyrektorem*. W istocie, takie jest właściwie nazwisko księdza katolickiego i do takiej to władzy rząd papieski w Rzymie dąży. Pod warunkiem uznania jej i poddania się, może być pobłażającym, oddawać małe przysługi, przebaczać słabościom ludzkim, znosić skłonności światowe, tolerować wybryki. Ma on wstręt do gwałtu, osobliwie do otwartego gwałtu. Lubi słowa pełne namaszczenia i sposób postępowania pobłażliwy. Nie grozi, ale przestrzega i napomina. Rozciąga po nad grzesznikami, jak bogaty watowany płaszcz, swoje obszerne uczuciowe okresy. Chętnie mówi o swem miłosiernem sercu, o wnętrznościach ojcowskich. Ale w jednym punkcie nie zna żadnego ustępstwa: w kwestji poddania mu się umysłem i sercem. Pozyskawszy to posłuszeństwo, występuje z dziedziny teologicznej — a wchodzi w życie prywatne, stanowi o powołaniach, wybiera zawody, rozporządza awansami, kieruje testamentami i t. d. i t. d.

Wypływa ztąd loicznie, iż w sprawach publicznych rząd papieski stara się jak najusilniej ustrzedz ludzi od niebezpiecznej pokusy działania. W Rzymie naprzykład, mianuje radzców municypalnych, którzy uzupełniają Radę, przez przybranie sobie innych. Ci nowi jednak, muszą być aprobowani przez papieża. Wynika więc ztąd, że cała administracja pochodzi z jego wyboru. Tak samo się dzieje i w innych dykasterjach. Jeden *monsignor* rządzi szpitalami, inny *monsignor* nadzoruje teatry i przedłuża tiuniki tancerkom. Co do administracji, wszystko pozostaje o ile możności na dawnym, udeptanym torze. Ekonomja polityczna, jest nauką szkodliwą, współczesną, zbyt dbałą o dobrobyt ciała. Pozostawiają lub nakładają podatek na przedmioty widocznie produkcyjne, nie troszcząc się bynajmniej niewidocznem zubożeniem, które ztąd rozciąga się na kraj cały. Za sprzedanego konia płaci się 5 od 100. Od bydła płaci się za pastwisko, a oprócz tego po 28 fr. od głowy na targu, to jest 20 do 30% od 100 rzeczywistej wartości. Od ryb płaci się 18 od 100 z ceny sprzedaży; za zboże zebrane w obrębie *agro romano* mniej więcej 22 od sta.

Dodajmy do tego, że podatek dochodowy nie jest bynajmniej lekki. Znam majątek przynoszący 33.000 skudów na rok, który płaci 5 do 6.000 podatku. Oprócz tego rząd bawi się w pożyczki. To należy do tradycji owych *luoghi di monte* i systemu finansowania z dwóch ostatnich stuleci. Idzie o to, aby żyć, i żyje się z dnia na dzień. Szczególnem zaś staraniem rządu jest, nic nie ruszyć z raz ustalonego porządku. Nowości napełniają zgrozą ludzi starych, zatrwożonych współczesnym duchem. Jeden z przyjaciół moich, wróciwszy z podróży po Meksyku, mówił do papieża: „Ojcze święty, podtrzymuj nowego cesarza, nakaż duchowieństwu meksykańskiemu ustępstwa i posłuch; inaczej bowiem cesarstwo runie, Amerykanie protestanci je zaleją, skolonizują i wielki ten kraj przepadnie dla wiary katolickiej.“ Papież zdał się pojmować go — gdy oto nacisk nieodparty tradycyj uzbroił go publicznie przeciwko jedynej instytucji, zdolnej przedłużyć w Ameryce północnej istnienie religji, której on jest naczelnikiem.

Słowem: istnieć, przeszkadzać, powstrzymywać, zachowywać, gasić, oto duch rządu papieskiego. Jeżeli kto pragnie jeszcze jakiego rysu wyróżniającego się, znajdzie go znowu w duchu eklezjastycznym. Ksiądz ślubuje bezżeństwo i ztąd grzechy przeciw czystości obchodzą go więcej niż wszystkie inne. W naszej moralności świeckiej główną sprężyną jest h o n o r, to znaczy obowiązek być odważnym i prawym. Tam cała moralność obraca się około pojęcia płci. Idzie tam o utrzymanie umysłu w nieświadomości i niewinności pierwotnej, lub przynajmniej o wydarcie go popędom zmysłowym za pomocą wstrzemięźliwości i umartwień, albo też wreszcie, w ostatecznym razie, o zapobieżenie jawnemu skandalowi. W tym punkcie policja jest srogą. Nie wolno kobiecie pokazać się wieczorem na ulicy. Sprawy z tej dziedziny załatwiają się pod płaszczykiem—tak, że komendant francuski musiał w tym względzie zamieniać z *monsignorem* specjalnym najzabawniejsze noty. Przyzwoitość zewnętrzna musi być utrzymana za jakąkolwiek bądź cenę, i jest—za jakąż cenę! Ostatniemi czasy biedną młodą dziewczynę, która miała romans, porywają, zamykają w klasztorze z oświadczeniem, że to na całe życie... — „Nie masz więc żadnego sposobu wyjść ztąd?“—pyta nieszczęśliwa. „Chyba znajdziesz kogoś, co się z tobą ożeni.“ Dziewczyna posyła po starego hultaja, który dawniej napróżno się jej zalecał. Ten żeni się z nią, a w miesiąc potem poczyna ją wyzyskiwać w zwykły sposób. Ale pozory zostały ocalone!... Jeden z przyjaciół moich przytacza mi młodą dziewczynę, uwiedzioną przez robotnika. Chciała bądź co bądź karmić swoje dziecię. Ale proboszcz posyła żandarmów, a ci wydzierają jej gwałtem niemowlę i oddają je do domu podrzutków.—Proboszcz twój ma prawo mięszania się do wszystkich spraw twoich. Może ci zabronić trzymać młodą służącę, jeżeliś nie żonaty; jeżeli podejrzewa jakąś intrygę, może ci zakazać odwidzania młodych dziewcząt i mężatek. Może wypędzić ze swojej parafji kobietę, której prowadzenie się zda mu się wątpliwem; może żądać od kardynała-wikarjusza wygnania pewnej aktorki, lub tancerki. Ma żandarmów na swoje usługi i nie zdaje nikomu rachunku oprócz kardynała-wikarjusza. Niemożebnem jest dla Rzymianina, żyć w Rzymie, jeżeli nie zgadza się ze swoim proboszczem. Bez świadectwa proboszcza nie dostaniesz pasportu ani pozwolenia na polowanie. On ma oko na twoje obyczaje, przekonania, rozmowy, wybór rzeczy do czytania. Pośliźnij się —

a masz policję na piętach! Uniknąć rozgłosu, rozciągnąć na życiu ludzkiem blichtr przyzwoitości, nie doznawać w niczem przeciwieństwa, pozostać w dawnym stanie bez wzbudzenia opozycji, wywierać nieograniczoną władzę w dziedzinie pojęć i spraw bieżącego życia przez oddziaływanie na imaginacje i nałogi ludzkie — oto ku czemu dążą i do czego sprowadzają się wszystkie pretensje rządu papieskiego — i jawnie się okazuje, iż podobna ambicja nie pochodzi z położenia chwilowego, ale z istoty samej danej instytucji i z jej charakteru. Rząd doczesny w rękach księży nie może być innym. Dojrzewa on do despotyzmu łagodnego, drobnostkowego, nieruchawego, przyzwoitego, mniszego, nieprzepartego — tak, jak roślina dojrzewa do kwiatu.“

Czy ten obraz wystarczy?

(C. d. n.)

AMAZONKI

w podaniu i dziejach.

Według Wilhelma Strickera opracował

WŁ. ORDON.

Wyobraźnia ludzka zawsze żywo zajmowała się wszystkiem, co występuje ze zwyczajnego biegu rzeczy, lub staje w sprzeczności z prawami natury. A jednym z takich wyjątków było niewątpliwie pochwycenie miecza przez delikatne ręce kobiety, opancerzenie piersi przeznaczonej do bardziej męzkiego i wdzięcznego stroju — zmiana łagodnej i uczuciowej istoty w dzikiego i nieubłaganego żołnierza.

To też podanie o Amazonkach, poczęte w pomroku niepamiętnych czasów, żyje i utrzymuje się przez wszystkie wieki. Ciekawą jest rzeczą śledzić to podanie w jego bajecznym rozwoju i przyjrzeć się następnie w dziejach rzeczywistym już bohaterkom, których się znajdzie nie mała liczba.

Starożytni wymyślili państwo wojowniczych kobiet. Baśń ta zmartwychwstała znowu w wieku Odrodzenia, gdy udział indyjskich kobiet w obronie swej ziemi przeciwko białym najeźdzcom, rozbudził w pamięci uczonych wspomnienia klasycznych tradycyj.

Poetom—od Ariosta i Tassa aż do Schillera i Henryka Klejsta,—Bradamanta i Marfisa, Klorynda, Gildippa i Armida, Dziewica Orleańska i Penthesilea, dostarczyły przepysznych tematów epicznych i dramatycznych, w których efekt wypływał ze starcia uczuć wrodzonych sercu kobiety, z wyjątkową, nabytą dzikością wojowniczą. Tasso dla usprawiedliwienia krwiożerczych skłonności swojej Kloryndy, daje jej za mamkę tygrysicę.

Właściwością podania o Amazonkach jest, iż miejsce ich pobytu, tak w starożytności, jak i w średnich wiekach, cofa się coraz dalej w miarę rozwoju wiadomości geograficznych. Ostatniem siedliskiem, jakie im dawano, była Gujana angielska, ale i z tego zakątka wyparły je podróże braci Schomburgk.

W podaniu starożytnem należy rozróżnić europejsko-azjatyckie Amazonki od afrykańskich. O pierwszych znajdujemy daleko obfitsze źródła, niż o drugich. Najwcześniej w dziejach napotykamy je przy Termodonie w Kapadocji, pomiędzy morzami Kaspijskiem i Czarnem, i w krajach kaukazkich. Z tych granic w dwóch częściach świata, robią one wyprawy do Azji i do Europy. I tak wiemy o wyprawie ich przeciwko Frygijczykom, gdy ci wpadli do Azji mniejszej. (Iliada III. 180. VI. 186. — Strabo lib. XII. geograph.) Tu Amazonki zwyciężone zostały przez Bellerophona. Dalej wspomina Enejda (I. 490) i historyk Justyn (II. 4) o ich wyprawie przeciw Grekom pod Troją, w czasie której na ich czele stała przesławna Penthesilea. Oprócz tego spotykamy ich wojownicze hufce w Attyce, gdzie walczą z niemi Herakles i Tezeusz, nad Dunajem, około 6go wieku przed Chr. o czem szeroko u Philostrata (Heroica XX) i u Pauzaniasza (III. 19); nareszcie w czasach Aleksandra Wielkiego toczą z nim sławną walkę, znaną powszechnie z opowiadań Justyna, Quinta Curtiusa (IV. 5) i Diodora Sycylijskiego (Bibljoteka XVII.) Oprócz powyższych pięciu wypraw spotykamy się jeszcze z imieniem Amazonek w czasie wojen Mitrydatesa z Rzymianami.

Ale najważniejsza wzmianka o azjatyckich Amazonkach znajduje się w czwartej księdze Herodota. Czytamy tam (§. 110). „O Sauromatach opowiadają rzecz następującą: Tocząc walkę z Amazonkami, Helenowie odnieśli zwycięztwo pod Termodonem, i odpływając, zabrali ze sobą na okręta, ile tylko mogli pochwycić żywych Amazonek. Te, na morzu, pozabijały mężczyzn. Ponieważ jednak nie umiały się z okrętami obchodzić, wiatr i fale zapędziły je do Kremnoi (?) nad jeziorem Maiotis, w kraju wolnych Skytów. Tam wyszły z okrętów na ląd. Natrafiwszy zaś od razu na pastwisko koni, pochwyciły je i jadąc na nich wpadły w ziemię Skytów.“ (§. 111.) „Skytowie nie mogli się z początku opatrzeć, nie znali bowiem ani pochodzenia, ani stroju, ani języka napastników. Zdawali im się, że to mężowie równego wieku występują z nimi do walki. Dopiero w walce, owładnąwszy kilkoma trupami, poznali, że wrogami ich są niewiasty. Uradzili tedy, nie zabijać ich już w przyszłości, ale wysłać najmłodszy lud z pomiędzy siebie, w liczbie równej ilości napastniczek. Ci mieli polecenie rozłożyć obóz w pobliżu Amazonek i naśladować je w zupełności; gdyby napadły na nich, nie walczyć ale uciekać, gdy zaś zaprzestaną pogoni, zbliżyć się znowu do nich i na nowo rozłożyć obozem. Tak postanowili Skytowie, pragnąc je pojąć za małżonki.“

W następnych dwóch paragrafach opowiada ojciec dziejopisarstwa z ową znaną a właściwą jemu swobodą, dalsze następstwa tego planu i wreszcie tak kończy w §. 114: „Połączyli więc swoje obadwa obozy i zamieszkali razem, w ten sposób, iż każdy pojął tę za małżonkę, z którą się najprzód zapoznał. Ponieważ jednak mężczyzni nie mogli się nauczyć języka niewiast, one więc przybrały mowę swoich mężów. Gdy się zaś wzajemnie już rozumieć mogli, rzekli mężowie do niewiast: Mamy rodziców i posiadłości; nie chcemy więc dłużej wieść takiego życia, ale pragniem powrócić do naszego ludu i z nim razem mieszkać. Was weźmiemy, jako żony. One odrzekły na to: My się nie zżyjemy z waszemi matkami i siostrami, odmienne bowiem od nich mamy obyczaje; my używamy łuku, rzucamy pociski i jeździmy konno, kobiecych zaś zajęć jesteśmy nieświadome; tymczasem wasze niewiasty nic podobnego nie czynią, zajmują się sprawami domowemi, nie opuszczają powózki i nie polują. Nie pogodziłybyśmy się tedy z niemi. Jeżeli jednak chcecie, abyśmy pozostały waszemi żonami, idźcie do swoich rodziców, zabierzcie przynależną wam cząstkę mienia i wracajcie tu żyć z nami.“

„I tak się stało. Tylko jeszcze na usilną prośbę kobiet przeszli nowożeńcy przez Don i posunęli się o trzy trzydniówki ku Wschodowi i o tyleż na północ od jeziora Maiotis. Tam obecnie jeszcze mieszkają — i ztąd to niewiasty Sauromackie zachowały zwyczaj jeżdzenia konno, z mężami lub bez nich, wyruszania łącznie z nimi na wojnę i odziewania się po męzku.“

(§. 117.) „Sauromaci używają skytyjskiej mowy — a mówią także i innem narzeczem błędnem, bo Amazonki źle ich nauczyły. Pod względem małżeństwa jest taki u nich obyczaj: żadna dziewczyna nie ma prawa wyjść za mąż, pokąd nie zabije mężczyzny w walce. Niektóre z nich starzeją się a nie wychodzą za mąż — nie mogąc dopełnić powyższego obowiązku.“ Dotąd Herodot.

Daleko mniej pozytywne są podania Strabona (Geograph. XI. 5), który na podstawie wieści i słów innych pisarzy siedlisko Amazonek mieści w górach Albanji i u stóp Kaukazu: „Każdą z nich — powiada on — w dzieciństwie pozbawiają piersi przez upalenie, a to, ażeby mogła zręczniej używać ramienia, szczególniej do rzutu. Noszą one strzały, topór bojowy i tarczę. Ze skór zwierzęcych robią sobie okrycie na głowę, odzież i pas. W miesiącach letnich schodzą się z Gargarenerami, od których je tylko jedna góra dzieli. Chłopców pochodzących z tych związków odsyłają ojcom, dziewczęta zaś przy sobie zatrzymują i wychowują.“

(C. d. n.)

OSTATNI Z ROMANOWYCH.

Oryginalne pamiętniki z czasów carowej, Katarzyny II.

(Ciąg dalszy.)

IV.

Gdy Woroncow przybył na zamek, znalazł carowę w otoczeniu mnóstwa dygnitarzy, upadających przed nią. Oddawszy należny ukłon, ośmielił się przedstawić jej niebezpieczeństwo, na jakie się narażała.

— W. C. Mość — przemówił poważnie — możesz mieć w tej chwili nadzieję niejakiego powodzenia, lecz czy będzie ono długiem, czy powinnaś ufać ślepej gorliwości twych stronników? Dla chwilowego panowania z nimi, ściągasz na siebie nieprzebłagany gniew małżonka. Po co masz przeciwko niemu zbrojnie występować, gdy możesz panować nad nim łagodnością i wyższością twego rozumu, który dozwoli ci zrobić z nim, co zechcesz? Pamiętaj jeszcze i o tem, że gwardja nie stanowi całego wojska cesarza, a Petersburg nie jest całym narodem!

Po cichu odpowiedziała mu na to Katarzyna:

— Wiedz o tem, że nie sama działam, lecz jestem zmuszoną do tego wolą narodu!

Kanclerz widząc, że tłumy ludu coraz gęstsze się stawały, oraz wyczytując ze wzroku sprzysiężonych złowrogie następstwa za swoje rezonowanie, zapomniał o poselstwie, i idąc w ślady innych, złożył Katarzynie przysięgę wiernopoddańczą. Po pocałowaniu krzyża i ewangielji, powiedział:

— Mogę ci służyć radą, N. Pani, lecz nie przydam się do spraw wojennych, a że moja obecność nie podoba się wielu, przeto pozwól, bym wrócił do domu, pod opieką zaufanego oficera.

Carowa zgodziła się na to, zakazując mu wszakże wydalić się z mieszkania. Tym sposobem kanclerz uniknąwszy zemsty stronników Katarzyny, usunął także od siebie podejrzenie Piotra.

O szóstej w wieczór carowa powtórnie wyjechała do wojska z dobytą szpadą w ręku, aby objąć nad niem dowództwo, i wyprowadzić je z miasta; ks. Daszkowa i hetman Razumowski jechali obok carycy. Za nimi cisnęły się tłumy narodu. Dworzanie na wyścigi starali się okazać gorliwość, biorąc udział w niebezpieczeństwie, a wojska coraz więcej przybywało. Wkrótce pojawił się także oddział, liczący trzy tysiące należycie uzbrojonych kozaków, których hetman Razumowski zawrócił z drogi do Pomorza.

Tymczasem po odjeździe kanclerza, Piotr słysząc o powodzeniach buntu, jeszcze więcej upadł na duchu. Teraz nie miał już żadnej wątpliwości o niebezpieczeństwie swego położenia. Otoczony płaczącemi niewiastami i młodymi dworzanami, którzy nie umieli dać mu dobrej rady, biegał przyspieszonemi krokami po alejach peterhofskich, układając coraz nowsze plany i złorzecząc Katarzynie w najokropniejszy sposób; w przerwach recytował rozmaite manifesty. Gdy nadeszła pora objadowa, kazał nakryć do stołu na brzegu morza i zdawał się uspokojonym. Wkrótce jednak zaczął znowu okazywać przerażenie, poczem wysłał rozkaz, aby trzy tysiące Holsztyńców znajdujących się w Oranjenbaumie przybyło natychmiast z całą swoją artylerją. W tej chwili właśnie stanął przed nim stary feldmarszałek Münich, którego car poważał dla jego wielkich wojennych zdolności i zasług, lecz nie chciał nigdy słuchać, ponieważ ten nie pochwalał nowozaprowadzonego regulaminu pruskiego. On tylko jeden mógł teraz podać zbawienną radę.

— N. Panie! — rzekł Münich — twoje wojsko wkrótce nadejdzie i pomaszerujemy z niem prosto na Petersburg; są tam jeszcze ludzie, którzy cię kochać umieją i pozostali ci wierni. Bądź spokojnym, większa część gwardji, to zbłąkane owieczki! Natychmiast one wrócą pod twoje sztandary! Zresztą, gdyby przyszło do starcia, miej nadzieję, że buntownicy nie długo potrafią spierać się z nami o zwycięztwo.

Chociaż ta rada pochlebiała carowi, nie podobała się jednak tchórzliwym dworzanom, a zanim przygotowano wojsko na wszelki wypadek, przybyła wiadomość o zbliżaniu się carowej na czele 20 tysięcznej armji. Kobiety zaczęły wtedy krzyczeć, że nic innego nie pozostaje, jak co tchu uciekać do Oranjenbaumu. Sam car nie miał odwagi narażać się na widoczne niebezpieczeństwo.

— Jeżeli lękasz się N. Panie — rzekł wtedy Münich — to nie czekaj ich przynajmniej w takiem miejscu, gdzie nie możesz bronić się skutecznie. Ani twój Oranjenbaum, ani Peterhof nie wytrzymają ataku; jeden Kronsztadt pozostaje ci jako pewne schronienie! Kronsztadt jest jeszcze w twojem ręku; tam znajdziesz liczną i dobrą załogę, oraz flotę, słowem ztamtąd tylko możesz Petersburg zmusić do posłuszeństwa.

Rada ta znalazła ogólne poparcie i natychmiast został wysłany jenerał Liwers, dla objęcia dowództwa nad Kronsztadtem. Podczas gdy przygotowywano dwa jachty, oficer od marynarki dowodzący niemi, podniósł jeszcze nadzieję, zapewniając o bezpieczeństwie tego miejsca i wierności całej załogi.

Piotr III, któremu zdawało się, że już widzi Katarzynę u bram Peterhofu, z największym pośpiechem rzucił się do jachtu, a za nim niepocieszona świta i nieustraszony Münich. Lecz nieubłagany los widocznie prześladował najrozsądniejsze nawet jego kroki; w kilka godzin bowiem w Kronsztadzie zmieniło się wszystko na jego niekorzyść. Flota i pułki przyjęły z początku jenerała Liwersa okrzykami radości, przysięgając wierność carowi, lecz wkrótce zdrada cały ten tryumf w niwec obróciła, — wojsko zbuntowało się, a nowy komendant poszedł do kozy.

Na początku rozruchów, gdy przemyśliwano nad środkami mogącemi zapewnić powodzenie, wszystkim sprzysiężonym wyszedł z głowy Kronsztadt; zaledwo po objeździe ktoś wspomniał o tej nader ważnej twierdzy, dodając, że wypada natychmiast naprawić tę omyłkę. Admirał Tałyzin podjął się pojechać sam do Kronsztadtu, co przyjęto z największą radością; do tej wyprawy użył łodzi, zakazawszy najprzód wioślarzom opowiadać, zkąd przybywają.

Jenerał Livers stał na brzegu przystani, każdej chwili spodziewając się cara, a ujrzawszy Tałyzina, podbiegł do niego i zręcznie starał się go wybadać, czy nie należy do stronników Katarzyny; admirał jednak będąc o wiele przebieglejszym, udał, że nic nie wie o postępach buntu, przyczem dodał, że wyjechawszy przed kilku dniami na wieś, usłyszał coś o rozruchach w Petersburgu i dla tego pospiesza do swojej floty, której powinien strzedz, jak oka w głowie. Liwers uspokojony, uwierzył admirałowi i ani się obejrzał, jak Tałyzin udawszy się do Matroskiego rewiru, zwołał wszystkich urzędników i majtków, aby ich zawiadomić o powodzeniu carowej. W końcu radził jako ojciec i zwierzchnik, aby się zwrócili ku niej, a gdy pierwszych starał się ugłaskać widokami nagród, drugich tak długo poił wódką, rozdając im pieniądze, dopóki nie skłonił wielu do aresztowania komendanta. Do majtków przyłączyła się pewna liczba żołnierzy. Liwers poszedł do kozy, admirał zaś został panem tego najważniejszego punktu, który jeden mógł ocalić Piotra III. Zaledwo odbyła się ta scena, gdy w porcie ukazał się sam car.

Tałyzin wydał już rozporządzenie, aby mu nie dozwolono wylądować w przystani; w tym to celu część załogi chodziła wzdłuż brzegu z nabitą bronią, działa były zaciągnięte i lonty zapalone, a gdy pierwszy jacht rzucił kotwicę, warta zapytała:

— Kto idzie?

— Cesarz — odpowiedziano z jachtu.

— Nie ma cesarza! — zawołała warta.

— Jakto, nie poznajecie mię! — krzyknął Piotr III, a podnosząc się odkrył pod płaszczem szafirową wstęgę.

— Nie! — wrzasnęło tysiące głosów — nie uznajemy cesarza, niech żyje carowa Katarzyna!

Wtedy Tałyzin odezwał się, że natychmiast każe zatopić jacht, jeśli ten nie odbije od brzegu. Wystraszony car rozkazał płynąć nazad, gdy w tem Hudowicz uchwyciwszy ręką za poręcz na brzegu przystani, zatrzymał jacht i zawołał:

— Proszę podać mi swoją rękę, a gdy wyskoczymy obaj na brzeg, nikt nie ośmieli się strzelać i Kronsztadt pozostanie w rękach W. C. Mości!

Hr. Brüss i pani Zagrjażska, naoczni świadkowie całego tego wypadku, często go później opowiadali.

Napróżno Münich popierał Hudowicza; wystraszony Piotr o niczem nie myślał jak o ratunku. Zbiegłszy więc na dół do kajuty, pomiędzy zapłakane damy, nie chciał o niczem słyszeć. Admirał nie pozwolił nawet podjąć kotwicy, musiano zatem uciąć linę i tak odpłynęli wiosłując. (C. d. n.)

Słowik w klatce.

W małej klateczce ciemnej i ciasnej,
Spiewak natchniony,
Marząc o chwilach przeszłości jasnej,
Przędzę boleści snuł z piersi własnej
Słowik więziony!

Spiewał o gaju uroczych cieniach,
Gdzie ujrzał życie —
O blasku gwiazdek, słońca promieniach,
Zielonych łąkach, srebrnych strumieniach,
Niebios błękicie!

Spiewał o wdzięku róży płomiennej,
O swej miłości —
Jękiem tęsknoty rzewnej, bezdennej,
Co darmo puka w pancerz kamienny
Ludzkiej litości!

Darmo mu w świeże gałązki stroją
Więzienne ściany —
Nietknięte z jadłem naczyńka stoją,
Tęsknotą tylko karmi pierś swoją
Ptaszek znękany!

I coraz rzewniej, coraz boleśniej
Na los się targa!
Ludzie słuchają, lecz im się nie śni,
Jaka się kryje w tej pięknej pieśni
Zabójcza skarga!

I chwalą piosnkę, słuchają dalej
Z spokojną twarzą —
Lecz że śmierć płynie w jej dźwięków fali,
Że jej żar serce spiewaka pali,
Nawet nie marzą!

Że nie wyżyje pierś oskrzydłona
Życiem niewoli!
Tymczasem ptaszę mdleje i kona...
Kończąc ostatnią swojego łona
Piosnkę niedoli!

Marja B.

W samotności.

Niby piekielnych ognisk dym
Chmur nad mą głową czarnych tłum
I cisza... tylko myślom mym
Wtoruje głuchy rzeki szum.
A myśli te, to już nie sen
Jasny, różowy, młodych lat!...
To już nie raj promienny ten —
Nie ów zaklęty marzeń świat —
Co pierzchły jak poranne mgły,
Jak topniejący z wiosną śnieg —
Co rozpłynęły w krwawe łzy,
Albo je uniósł życia bieg!
A myśli te — to już nie szał,
To nie rozpaczny z losem bój!
Co niegdyś w biednem sercu wrzał
Rwąc je w namiętny ucisk swój!
Nie marzą już, nie walczą już,
Skarg nie miotają w niebios sklep —
Jak szczątki statku morskich burz
Siłą rzucone w skwarny step
Nad niemi słońca palny żar,
Przed niemi fal zdąsanych szał,
W przestrzeni ciężki pustyń skwar —
A w koło martwych piasków wał!

Maj 1875. *Marja B.*

Tajemnicza Wyspa

przez

JULJUSZA VERNE

przełożył z francuskiego J. Pł...

Opuszczony.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ IX.

(Nawałnice. — Winda hydrauliczna. — Fabrykacja szyb i naczyń szklannych. — Drzewo chlebowe. — Częste odwidziny obory.— Wzrost trzody. — Kwestja postawiona przez korespondenta.—Dokładne oznaczenie równoleżnika wyspy Lincolna.— Propozycja Pencroffa)

W pierwszym tygodniu miesiąca marca zmieniła się pogoda. Na początku miesiąca była pełnia i trwały ciągle nieznośne upały. Czuć było, że atmosfera przesyconą była elektrycznością i słusznie należało się obawiać zbliżającej się dłuższej lub krótszej pory burz.

W samej rzeczy, dnia 2go marca, zahuczały grzmoty z nadzwyczajną gwałtownością. Wicher dął od wschodu a grad bił prosto we front Pałacu Granitowego z trzaskiem podobnym do strzałów karabinowych. Trzeba było szczelnie pozamykać drzwi i okiennice, ażeby uniknąć powodzi w pokojach.

Na widok tych ziarn gradowych, między któremi były i tak wielkie jak jaja gołębie, jedna myśl tylko przejmowała Pencroffa, mianowicie: że jego łan zboża narażony był na najwyższe niebezpieczeństwo.

Pobiegł więc co rychło do łanu, na którem kłoski poczęły już podnosić zielone swe główki, i grubem płótnem nakrył przyszły swój plon. Wprawdzie zamiast niego został sam należycie przez grad wymłóconym, lecz nie uskarżał się na to wcale.

Burza ta trwała dni ośm, a przez cały ten czas bezustanku warczały grzmoty w obłokach. Pomiędzy pierwszą a drugą burzą słychać było głuche ich huczenie na krańcach widnokręgu; poczem z nową zaryczały wściekłością. Niebo rozjaśniało się co chwila wstęgami błyskawic, a piorun powalił kilka drzew na wyspie, między innemi olbrzymią sosnę tuż przy jeziorze z kraju lasu stojącą. Dwa lub trzy razy zarył grot elektryczny w piasek nadbrzeżny, stopił go i przemienił w szklistą masę. Widok tego szkliwa przywiódł inżyniera na myśl, że dałoby się może opatrzyć okna Pałacu grubemi i trwałemi szybami, zdolnemi wytrzymać pociski wichru, deszczu i gradu.

Osadnicy nasi, nie mając żadnej pilnej roboty po za domem, korzystając ze słoty, pracowali w Pałacu Granitowym, którego wewnętrzne urządzenie z każdym dniem udoskonalało się i uzupełniało. Inżynier postawił tokarnię, za pomocą której utoczono kilka narzędzi toaletowych i kuchennych, zwłaszcza guziki, których brak dawał się czuć dotkliwie. Sporządzono rodzaj szaragi na broń, którą nader starannie utrzymywano; półki i szafy nie pozostawiały również nic do życzenia. Piłowano, heblowano, wygładzano, toczono i przez cały ten czas słoty słychać było tylko zgrzyt narzędzi i warczenie koła tokarskiego, odpowiadającego hukom grzmotów.

Nie zapomniano przytem i o panu Jowie; zajmował on osobny pokój koło głównego magazynu, rodzaj małej izdebki z legowiskiem opatrzonem zawsze w świeżą podściółkę, z którego był bardzo zadowolonym.

— Na tego poczciwego Jowa nie słychać nigdy skarg żadnych, powtarzał nieraz Pencroff, nigdy mu się nie wymknie żadna odpowiedź niewłaściwa! Co to za sługa z niego, Nabie, co za sługa!

— Mój uczeń, odpowiedział Nab, wkrótce dojdzie mnie samego!

— Przewyższy cię! odpierał na to ze śmiechem marynarz, bo koniec końców, ty, mój Nabie gadasz, a on nie gada nic!

Jow, rozumie się, obeznanym był już teraz wybornie z całą usługą. Trzepał suknie, kręcił rożen, zamiatał pokoje, usługiwał do stołu, składał drzewo i — co najbardziej zachwycało Pencroffa — co dzień, zanim sam położył się spać, przychodził do zacnego marynarza i otulał go do snu.

Stan zdrowia członków osady, tak dwunożnych jak dwurękich, czwororękich i czworonożnych, nie pozostawiał nic do życzenia. Żyjąc wciąż na świeżem powietrzu, w kraju tak zdrowym, pod niebem umiarkowanem, przy ciągłej pracy umysłowej i fizycznej, nie potrzebowali się lękać żadnej choroby.

To też wszyscy cieszyli się najlepszem zdrowiem. Harbert przez ten rok urósł o dwa cale. Twarz jego nabrała wyrazu bardziej męskiego. Obiecywał wyrość na człowieka dzielnego, tak pod względem fizycznym jak i moralnym. Prócz tego, korzystając z chwil wolnych od zajęć ręcznych, uczył się, odczytywał tych kilka książek znalezionych w skrzyni, a przy nauce praktycznej, wypływającej już z samego położenia, w jakim się znajdował, miał jeszcze pod względem umiejętności ścisłych w inżynierze, a pod względem języków w korespondencie nauczycieli, którzy z roskoszą dopełniali jego wykształcenia.

Ulubioną myślą inżyniera było przelać całą swą wiedzę w tego chłopca, nauczać go zarówno słowem jak przykładem, a Harbert w pełnej mierze korzystał z nauk mistrza.

— Gdy umrę, myślał nieraz Cyrus Smith, on mnie zastąpi.

Burza ucichła wreszcie 9go marca, ale niebo przez cały ten ostatni miesiąc letni pokryte było chmurami. Powietrze wstrząśnione gwałtownie prądami elektrycznemi, nie mogło już odzyskać dawnej czystości, i bez przerwy prawie trwały deszcze i mgły, z wyjątkiem trzech lub czterech dni pogodnych, podczas których przedsiębrano rozmaitego rodzaju wycieczki.

O tym czasie samica onagasa urodziła źrebię tej samej płci co matka; było ono wielce pożądanem nabytkiem. Podobnież i trzoda baranów pomnożyła się o kilka jagniąt; te beczały pod szopą, ku wielkiej uciesze Naba i Harberta, z których każdy miał pomiędzy nowonarodzonymi swojego faworyta.

Próbowano także przyswoić pekarysy, a próba ta udała się zupełnie. Koło podwórka postawiono ogrodzenie, które niebawem zaludniło się młodem potomstwem, wzrastającem albo raczej wypasającem się pod troskliwą pieczą Naba. Jow, który z urzędu swego nosił im codziennie pożywienie, t. j. pomyje, resztki z kuchni i t. p. wywiązywał się sumiennie z tego zadania. Prawda, że czasem pozwalał sobie żartów, kosztem swych małych stołowników, i ciągnął ich za ogony, nie czynił tego jednak bynajmniej ze złości lecz tylko z pustoty, te małe bowiem kręcone ogonki bawiły go niezmiernie, a miał on zupełnie usposobienie dziecka.

Pewnego dnia Pencroff rozmawiając z inżynierem przypomniał mu obietnicę, której dotychczas nie miał czasu wykonać.

— Wspomniałeś pan raz, panie Cyrus, rzekł marynarz, o przyrządzie, który ma zastąpić długą drabinkę wiodącą do Pałacu Granitowego. Nie wykonasz też pan kiedy tego przyrządu?

— Chcesz pan zapewne mówić o rodzaju windy? odparł Cyrus Smith.

— Jeśli pan chcesz, nazwijmy go windą, odparł marynarz. Mniejsza o nazwę, byle nas tylko wygodnie podnosił aż do drzwi mieszkania.

— Nic łatwiejszego, Pencroffie, ale czy to koniecznie potrzebne?

— Bez wątpienia panie Cyrus. Zaspokoiwszy nasze konieczne potrzeby, pomyślmy trochę o wygodzie. Dla nas ludzi, jeśli pan chcesz, będzie to zbytek, ale dla rzeczy martwych jest to niezbędnem! Nie bardzo to wygodnie drapać się po długiej drabinie, gdy się jest obładowanym ciężarami!

— A no, spróbuję cię zadowolić, Pencroffie, odparł Cyrus Smith.

— Ależ pan nie masz maszyny do poruszania takiego przyrządu.

— Zrobimy ją.

— Maszynę parową?

— Nie, maszynę wodną.

I w samej rzeczy posiadał inżynier dla swojego przyrządu naturalną siłę poruszającą, którą bez wielkiej trudności można było zużytkować. W tym celu należało tylko zwiększyć potoczek, który przez wąską czeluść dostarczał wody do wnętrza Pałacu Granitowego. Rozszerzono zatem górny otwór odpływowy, osłoniony kamieniem i zielskiem, przez co utworzył się poniżej silny wodospad, z którego nadmiar wody upływał przez studnię podziemną. Poniżej tego wodospadu ustawił inżynier walec ze skrzydłami, który na zewnątrz zostawił w połączeniu z kołem okręconem grubą liną, u której końca przywiązany był kosz. Tym sposobem, za pomocą długiego sznura spadającego aż do ziemi, służącego do zatrzymywania i puszczania w ruch windy hydraulicznej, można było wznieść się w koszu aż do drzwi Pałacu Granitowego.

Dnia 17. marca odbyła się pierwsza próba windy hydraulicznej i wypadła ku powszechnemu zadowoleniu. Odtąd windowano wszystkie ciężary, drzewo, węgle, żywność i sami osadnicy wznosili się do góry za pomocą tego pojedyncznego przyrządu, który zastąpił pierwotną drabinkę przez nikogo nie żałowaną. Top szczególnie zachwycony był tem ulepszeniem, gdyż ani posiadał ani mógł posiadać tej zwinności w łażeniu po drabinie, co Jow, i nieraz na plecach Naba, albo i na grzbiecie orangutana odbywał swój wjazd do Pałacu Granitowego.

O tymże czasie postanowił także Cyrus Smith wyrabiać szkło. Na to potrzeba było przedewszystkiem dawny piec garncarski przerobić stosownie do nowego celu. Przedstawiało to dość wielkie trudności, jednak po kilku bezowocnych usiłowaniach, udało się wreszcie inżynierowi postawić hutę szklanną, której Gedeon Spilett i Harbert, naturalni pomocnicy inżyniera, przez całych kilka dni ani na krok nie opuszczali.

Materjałami służącemi do robienia szkła są: piasek, kreda i soda (węglan sodowy lub siarczan sodowy.) Piasku było dość na wybrzeżach, kredy dostarczało wapno, rośliny morskie dawały sodę, piryty dostarczały kwasu siarczanego, a ziemia węgla do ogrzewania pieca hutniczego do wy-

maganej temperatury. Tak więc posiadał Cyrus Smith wszystkie materjały potrzebne do fabrykacji.

Najwięcej trudności przedstawiało sporządzenie głównego narzędzia do tej roboty, zwanego „cybuchem.“ Jest to rura żelazna, pięć do sześciu stóp długa, którą nabiera się stopionej masy szklannej. Pencroffowi jednak udało się z długiej i cienkiej blachy żelaznej, zwiniętej w trąbkę na kształt lufy u strzelby, utworzyć taki cybuch, który się okazał zupełnie przydatnym.

Dnia 28. marca rozgrzano piec silnie. Sto części piasku, trzydzieści pięć części kredy, czterdzieści siarkanu sodowego, zmięszane z dwiema lub trzema częściami spylonego węgla, stanowiły materjał, który wsypano do tyglów z ogniotrwałej gliny. Gdy wskutek podniesionej temperatury pieca, mięszanina ta przeszła w stan płynny albo raczej w cieścisty, Cyrus Smith „nabrał“ cybuchem pewną ilość tej masy, wypuścił ją na płycie metalowej poprzednio na ten cel przygotowanej, aby jej nadać kształt najodpowiedniejszy do wydymania, poczem oddał cybuch Harbertowi, rozkazując mu dmuchać w niego drugim końcem.

— Jak przy puszczaniu baniek mydlanych? zapytał chłopak.

— Zupełnie tak samo — odparł inżynier.

Harbert wydął policzki i dmuchał w cybuch, obracając go przytem nieustannie, dopóki w skutek dmuchania nie rozszerzyła się masa szklanna. Poczem dodano jeszcze więcej masy stopionej, tak że wkrótce utworzyła się bryła, mająca stopę średnicy. Wtedy Cyrus Smith wziął napowrót cybuch z rąk Harberta i wprawiwszy go w ruch wahadłowy, przedłużył miękką jak ciasto bryłę i nadał jej kształt walcowato-stożkowy.

Wskutek tej operacji otrzymano walec szklanny, zakończony po obu bokach półkulistemi czepkami, które odłączono z łatwością za pomocą noża zwilżonego zimną wodą. Tym samym sposobem rozcięto walec na podłuż, i rozmiękczywszy go przez powtórne ogrzanie, rozciągnięto na płycie i rozprostowano za pomocą drewnianego wałka.

Tym sposobem zrobiono pierwszą szybę, a powtórzywszy tę samą operację pięćdziesiąt razy z kolei, otrzymano pięćdziesiąt szyb. Tak więc okna Pałacu Granitowego zaopatrzone zostały w przezroczyste płyty szklanne, może nie zbyt białe, ale dostatecznie przejrzyste.

Wydymanie naczyń, szklanek i butelek, było już tylko igraszką. Zatrzymywano kształt ich taki, w jakim wychodziły na końcu cybucha. Teraz Pencroff prosił z kolei o pozwolenie „dmuchania,“ i robił to z wielką przyjemnością, ale dmuchał tak silnie, że wyroby jego przybierały najzabawniejsze kształty i jego samego wprawiały w podziw.

Podczas jednej z wycieczek podjętych w tej porze odkryto nowe drzewo, którego owoce powiększyły jeszcze zasoby żywności osady.

Cyrus Smith wybrawszy się pewnego dnia z Harbertem na polowanie, zapuścili się w głąb lasu Zachodniej Ręki, na lewym brzegu Dziękczynnej, i jak zwykle, chłopak zadawał inżynierowi tysiączne pytania, na które ten z największą gotowością odpowiadał. Ale z polowaniem ma się rzecz tak samo, jak z innemi czynnościami na tym świecie, gdy się do nich nie bierze gorliwie, nie udają się oczywiście. A ponieważ Cyrus Smith nie był zapalonym myśliwym, a Harbert ze swej strony mówił tylko o chemji i fizyce, więc tego dnia wiele kangurusów, kabyjasów i agutów uszło przed strzelbą Harberta. W skutek tego była już późna godzina, a myśliwi nasi nic jeszcze nie upolowali i wyprawa miała pozostać bezowocną, gdy nagle Harbert zatrzymał się i z okrzykiem radości zawołał:

— Panie Cyrus, widzisz pan to drzewo?

I mówiąc to wskazał na drzewo podobne raczej do krzewu, składające się tylko z pojedyńczej łodygi, pokrytej łuskowatą korą, z liśćmi prążkowanemi w małe równoległe żyłki.

— Cóż to za drzewo takie podobne do małej palmy? — zapytał Cyrus Smith.

— Jest to *cycas revoluta* (sagowiec), którego wizerunek znajduje się w naszym słowniku historji naturalnej!

— Lecz gdzież są owoce tego krzewu?

— Nie ma ich, panie Cyrus — odparł Harbert — ale zato sama łodyga zawiera wewnątrz mąkę, którą natura daje nam całkiem zmieloną.

— Więc to drzewo chlebowe?

— Tak! to drzewo chlebowe.

— A zatem, moje dziecię — odparł inżynier — zanim doczekamy się chleba z naszej pszenicy, jest to dla nas odkrycie ze wszech miar drogocenne. Do dzieła więc, a dałby Bóg, żebyś się nie omylił!

Harbert nie omylił się wcale. Rozłamał łodygę jednego z tych sagowców, składającą się z gruczołkowatej tkanki i zawierającą pewną ilość mączkowatego szpiku, poprzerzynanego drzewiastemi pręcikami, pręciki te zaś przeplatane były drzewiastemi obrączkami koncentrycznie poukładanemi. Mączka ta zmięszaną była ze sokiem roślinnym, posiadającym smak nader nieprzyjemny, sok ten jednak łatwo można było wydusić. Włóknista ta materja była rzeczywistą mąką, i to przedniejszego gatunku, nader pożywną, której wywóz wzbraniały niegdyś prawa japońskie.

Cyrus Smith i Harbert, obejrzawszy dokładnie stronę lasu, w której rosły te sagowce i opatrzywszy takowe znakami, powrócili sami do Pałacu Granitowego i obwieścili towarzyszom nowe odkrycie.

Nazajutrz osadnicy udali się na zbiór sagowców, a Pencroff, który coraz bardziej entuzjazmował się wyspą, rzekł do inżyniera:

— Czy wierzysz pan w to, panie Cyrus, że istnieją wyspy dla rozbitków?

— Co pod tem rozumiesz, Pencroffie?

— Rozumiem to, że istnieją wyspy stworzone umyślnie po to, aby w ich pobliżu mogły się wygodnie rozbijać okręta, wyspy takie, na których biedni rozbitki zawsze dadzą sobie radę!

— To być może — odparł z uśmiechem inżynier.

— To rzecz pewna, mój panie — odparł Pencroff — jak niemniej pewnem jest i to, że jedną z takich wysp jest właśnie wyspa Lincolna!

Wrócono do Pałacu Granitowego z obfitym zbiorem łodyg sagowcowych. Inżynier sporządził prasę do wyciskania z mąki owego soku roślinnego, poczem otrzymał znaczną ilość przedniej mąki, która pod ręką Naba przemieniała się w ciastka i puddingi. Był to chleb wprawdzie nie taki jak pszeniczny, lecz wielce do niego zbliżony.

W tym samym czasie onagasy, kozy i owce dostarczały codziennie mleka dla osady. Przedsiębrano częste wycieczki do obory wózkiem, albo raczej rodzajem lekkiej kolaski, którą zastąpiono dawniejszy wózek, a Pencroff każdym razem, gdy wypadała kolej na niego, brał ze sobą Jowa i kazał mu powozić, z czego Jow, gęsto trzaskając z bicza, wywiązywał się ze zwykłą swą zręcznością.

Tak więc wszystko wiodło się pomyślnie i w oborze, i w Pałacu Granitowym, i zaiste, gdyby nie oddalenie od ojczyzny, osadnicy nie mieliby się na co uskarżać. Byli jakby stworzeni do podobnego życia, a zresztą przyzwyczaili się już tak do tej wyspy, że z żalem byliby opuszczali gościnną jej ziemię!

A jednak, tak silnie zakorzenioną jest miłość ojczyzny w sercu człowieka, że gdyby niespodziewanie zjawił się w pobliżu wyspy jaki okręt, osadnicy nasi byliby go przywołali znakami i byliby porzucili wyspę!... Tymczasem cieszyli się pomyślnym swym losem, i raczej lękali się, niżeli pragnęli zdarzenia mogącego przerwać błogi ten stan.

Lecz któryż człowiek na świecie może sobie pochlebiać, że przykuł do siebie szczęście i czuć się bezpiecznym od jego kaprysów!

Bądź co bądź wyspa ta, którą osadnicy nasi zamieszkiwali już przeszło od roku, nieraz stanowiła przedmiot ich pogadanek, i pewnego dnia zrobili spostrzeżenie, które pociągnęło za sobą późniéj ważne następstwa.

Było to 1. kwietnia, w niedzielę wielkanocną, którą Cyrus Smith z towarzyszami swoimi święcili odpoczynkiem i modłami. Dzień był tak pogodny, jak bywają czasem na półkuli północnej dnie październikowe.

Wieczorem, po objedzie, zgromadzili się wszyscy pod werandą, nad brzegiem Wielkiej Terasy, i przypatrywali się cieniom nocnym powstającym na widnokręgu. Nab podał kilka filiżanek owej nalewki przyrządzonej z ziarnek bzu, a zastępującej miejsce czarnej kawy. Rozmawiano o wyspie i jej odosobnionem położeniu wśród wód Cichego Oceanu, gdy nagle oderwał się Gedeon Spilett w te słowa:

— Kochany Cyrusie, czy od czasu kiedy posiadamy sekstant, który znaleźliśmy w skrzyni, zdejmowałeś na nowo położenie naszej wyspy?

— Nie, nie robiłem tego, odparł inżynier.

— Lecz możeby było na czasie uczynić to teraz, kiedy posiadamy instrument doskonalszy od tego, którym posługiwałeś się wówczas.

— A to poco? zapytał Pencroff. Przecież wyspa leży i teraz tam, gdzie leżała!

— Bez wątpienia, ciągnął dalej Gedeon Spilett, jednak w skutek niedoskonałości instrumentu mogła zajść niedokładność w obliczeniu, a ponieważ teraz łatwo możemy je sprawdzić...

— Masz słuszność, kochany Spilett, odparł inżynier, powinienem był już dawniej je sprawdzić, chociaż, jeżelim się omylił, to nie więcej jak o pięć stóp na szerokość lub długość..

— Ba, kto to wie? ciągnął dalej korespondent, kto wie, czyli nie znajdujemy się bliżej ziemi zamieszkałej, niźli sami sądzimy?

— Dowiemy się o tem jutro, odparł Cyrus Smith, i gdyby nie te ciągłe zatrudnienia, które mi nie pozostawiały chwili wolnego czasu, jużbyśmy o tem dotychczas wiedzieli.

— Niech i tak będzie, rzekł Pencroff, pan Cyrus jest za nadto dobrym rachmistrzem, ażeby się mógł omylić, i jeżeli tylko wyspa nie ruszyła się z miejsca, to z pewnością leży tam, gdzie ją postawił pan Cyrus!

— Obaczymy.

Nazajutrz więc przedsięwziął inżynier przy pomocy sekstanta odpowiednie badania ku sprawdzeniu otrzymanych już pierwej równorzędnych wyspy, a rezultat tego badania był następujący:

Pierwsze badanie wykazało, że wyspa Lincolna położoną była:
między 150 a 155ym stopniem długości zachodniej
między 30 a 35 stopniem szerokości połudn.

Drugie badanie wykazało dokładnie:
150° 30′ długości zachodniej
34° 57′ szerokości południowej.

Tak więc pomimo niedokładności przyrządów, z taką zręcznością przeprowadził był Cyrus Smith swe poprzednie badania, że omyłka nie wynosiła więcej jak pięć stopni.

— A teraz, rzekł Gedeon Spilett, ponieważ oprócz sekstanta posiadamy także mapę geograficzną, przekonajmy się teraz dokładnie, kochany Cyrusie, jakie miejsce zajmuje wyspa Lincolna na Cichym Oceanie.

Harbert pobiegł po mapę, która, jak wiemy, wydaną była we Francji, a tem samem posiadała nomenklaturę francuską.

Rozpostarto mapę Cichego Oceanu, a inżynier, z kompasem w ręku, gotował się oznaczyć położenie wyspy.

Nagle zatrzymał rękę z kompasem i zawołał:

— Ależ w tej stronie Cichego Oceanu leży już jedna wyspa!

— Wyspa? zawołał Pencroff.

— Prawdopodobnie, nasza! odparł Gedeon Spilett.

— Wcale nie, ciągnął dalej Cyrus Smith. Wyspa ta położoną jest pod 153 stopniem długości a 37° 11′ szerokości geograficznej, zatem o półtrzecia stopnia dalej na zachód, a o dwa stopnie dalej na południe, niżeli wyspa Lincolna.

— Cóż to za wyspa? zapytał Harbert.

— Wyspa *Tabor*.

— Czy duża?

— Nie, jest to mała wysepka, położona samotnie wśród Cichego Oceanu, której może nikt jeszcze dotąd nie zwidził!

— A zatem my ją zwidzimy, rzekł Pencroff.

— My?

— W samej rzeczy, panie Cyrus. Zbudujemy łódź pomostową, a ja się podejmuję nią sterować. Jak daleko z tąd do tej wyspy Tabor?

— Około sto pięćdziesiąt mil w kierunku północno-zachodnim, odparł Cyrus Smith.

— Sto pięćdziesiąt mil! To fraszka! odparł Pencroff. Przy pomyślnym wietrze przepłyniemy je w czterdziestu ośmiu godzinach!

— Ale naco i poco? zapytał korespondent.

— Alboż ja wiem? To się da widzieć!

Na tę odpowiedź Pencroffa, uchwalono zbudować łódź, tak, by około przyszłego października, za powrotem pogodnej pory, można się było puścić na morze. (C. d. n.)

IDEALIŚCI,

POWIEŚĆ

JANA LAMA.

(Ciąg dalszy.)

ROZDZIAŁ V.

„Kochane Siostry!

„I nie wiele, i bardzo wiele mam wam do napisania o pierwszym dniu mojego pobytu w Ryszowie. Przedewszystkiem obawiam się przycinków wuja, który zawsze utrzymuje, że my umiemy spisywać całe arkusze o niczem, a nie potrafimy napisać i jednej ćwiartki o czemkolwiek. Wuj ma podobnoś słuszność, i dla tego postanowiłam sobie jak najmocniej wystrzegać się długiego pisania o niczem. Ależ, mój Boże, o czemże mam pisać? Jabym tak rada pomówić z wami — to byłoby co innego — ale ten nieznośny papier, któremu nie można nic powiedzieć na ucho, który zawsze wszystko wypapla, w tej chwili mrozi mię swojem białem, chłodnem wejrzeniem. A jaki naperfumowany! Prawdziwy elegant z modnego świata — pożyczyła mi go panna Wanda, przyjaciółka pani Zameckiej, która od lat wielu bawi w tym domu. Ta panna Wanda ma, jak spostrzegłam, wiele sympatji dla p. Zgorzelskiego, którego znacie, i który przyjechał tutaj dzisiaj na chwilę przed nami, bo powóz papy spóźnił się i musieliśmy czekać na dworcu kolei.... „Papy!“ Nauczyłam się nazywać tak kochanego, łaskawego mojego dobrodzieja, sam tego wymaga odemnie, i gniewałby się, gdybym go inaczej nazwała. W domu — to jest, u was, u drogiej cioci, zdawało mi się to rzeczą tak łatwą, tak naturalną — nie myślałam nigdy nawet, bym go mogła nazywać inaczej! Wiecie jak dobrym jest dla mnie, i że rodzony ojciec nie mógłby być lepszym.... Ale tutaj! Tutaj nie mogę odważyć się, wymówić to słowo, i w istocie przez cały dzień starałam się uniknąć sposobności wymówienia go—brzmiałoby opacznie.... wszystko tutaj wydaje mi się opacznem!

„Najlepiej podobnoś będzie, jeżeli wam opowiem w porządku wszystko, jak było. Wjechaliśmy, jakby do fortecy jakiej, przez most i bramę murowaną na duży dziedziniec zamkowy. Jaki zamek! Kamienice w mieście bywają większe, piękniejsze, weselsze, ale za to ten poważny, szary budynek o staroświeckich kształtach, budzi we mnie takie uszanowanie, jak kościół... W dzień lubiłabym mu się przypatrywać, zaludniać go w myśli postaciami rycerzy i dam z dawnych wieków... teraz, o zmroku, mrowie mię przechodzi... wszak wiecie, jakam ja śmieszna z mojemi zabobonami.... Na moje szczęście, kochany papa przeznaczył na moje usługi — wyobraźcie sobie, na moje usługi! jakąś bardzo dobrą dziewczynę, która będzie spała ze mną w jednym pokoju, i która także boi się tych wysokich komnat, tych obrazów na ścianach i sufitach, i tych staroświeckich, dziwnie ogromnych sprzętów, jakich pewno nie widziałyście. Powiada Kseńka — Kseńka jej na imię — że tu w zamku coś straszy, drży więc nieboga i tuli się w kącie, chowając nogi pod siebie — to mi dodaje nieco odwagi. Dobrze to wujcio powiada, że człowiek często odważniejszym się staje w towarzystwie tchórzów. Kto wie, gdyby kto trzeci był tu ze mną i Kseńką, stałby się może walecznym, jak Bayard.

„Otóż, na ganku zamkowym, powitała nas pani Zamecka. Nie wierzyłabym moim własnym oczom, ale Wandzia — to jest, ta panna Wanda, o której wspomniałam, mówiła mi także, że jest zadziwiające podobieństwo między nami, to jest, nie między mną a Wandzią, ale między mną a panią Zamecką. W pierwszej chwili zdawało mi się, że sama siebie widzę w źwierciedle, ale potem.... o, za nic w świecie nie chciałabym być podobną do niej! Nie uwierzycie, jak niemiłym był wyraz jej twarzy, gdy spojrzała na mnie i odwróciła oczy, niby błędne.... Jestem pewną, że jeżeli i w tenczas jeszcze byłam podobną do niej, nikt mię kochać ani lubić nie może....

„Papa był bardzo wzruszonym, gdy mię przedstawiał swojej żonie — a ona.... ona przystąpiła do mnie, i pocałowała mię w czoło. Moje drogie! — może to szaleństwo z mojej strony, ale powiadam wam, że gdybym w tej chwili poczuła pocałunek podobny, umarłabym z przerażenia. Zdawało mi się, że mię trup całuje....

„Musi to być zapewne jedna z tych hallucynacyj, z których wujcio starał się wyleczyć mnie perswazją i rozumnemi przedstawieniami. Cóż jam temu winna, że nie mogę oprzeć się własnemu dziwactwu! Są chwile, kiedy mi stają w duszy wszystkie strachy, które się tam zagnieździły oddawna, i które znikają, gdy jestem z wami, z ciocią, w dzień biały... Tutaj wciąż mi straszno i nieswojsko, a serce tak mi się ściska, jak gdyby się coś okropnego wydarzyć miało. Kochana Franiu i Adelciu, zmiłujcie się, piszcie do mnie natychmiast, czy wszyscy zdrowi, ciocia, wójcio i wy, moje drogie! Nie zdołacie nigdy wyobrazić sobie, jak mię dręczy ta moja niedorzeczna chorobliwa trwoga. Wczoraj, gdyśmy wróciły z apteki, ni ztąd ni zowąd coś mię zaczęło niepokoić, w nocy miałam sny przykre i przestraszyłam aż ciocię. Teraz to znowu wróciło — ale w dzień, o w dzień... gdybyście widziały, domyśliłybyście się zaraz, że nie miałam czasu myśleć o strachach...

„Pan Wacław jest tutaj. Gdy wszedł do salonu i ujrzał mię — ale może i to hallucynacja! — dosyć, że zdawało mi się, iż był zmieszanym. Niewątpliwie zdawało mi się tylko, bo dla czegoż miałby się mięszać? Zdobyłam się na odwagę i poszłam przywitać się z nim. Juźci, jeżeli ma żal do kogo, to jeszcze z tego nie wynika, ażebyśmy jako obcy sobie zupełnie, nie.......

(Tu w oryginale znajduje się luka, spowodowana zalaniem się atramentu w kilku wierszach. Kopista przypuszcza, że autorka nie mogąc znieść widoku wyrazów, które nakreśliła, zalała je łzami. Zdania rzeczoznawców nie zasięgano, bo nie było powodu. Dalszy czytelny ciąg manuskryptu brzmi, jak następuje:)

„......ale mało mówił. Przy objedzie pani Zamecka chciała posadzić go między sobą i panną Wandą, — nie mogę nazywać ją Wandzią, chociaż przyrzekłyśmy sobie prawie przyjaźń dozgonną; ale cóż, kiedy czuję, że ona nie ma dla mnie sympatji — otóż papa kochany zrobił uwagę, że to miejsce należy się p. Zgorzelskiemu, a nam kazał siąść obok siebie, po drugiej stronie pani domu. Dalipan, że nie wiem, co się ze mną działo, ksiądz proboszcz i doktor gwarzyli bardzo wesoło. Musiałam być bardzo roztargniona i śmieszna, ale nie spostrzegłam tego, aż przy pieczystem, którego nie wzięłam z półmiska, ale natomiast — wyobraźcie sobie! nabrałam kopiasty talerz sałaty, tak, że nie wiele zostało dla drugich. Machinalnie biorę widelec i niby chcę jeść, — spostrzegam, com zrobiła, i omal nie ginę z konfuzji. Papa rozśmiał się serdecznie i wszyscy za nim, mnie się już na płacz zbierało, ale papa wstawszy z miejsca, przyszedł do mnie, pocałował mnie w czoło, pogłaskał po twarzy i szepnął mi do ucha: „serce nie ma oczu“. Nie wiem dla czego, wśród łez, rozśmiałam się także, a tymczasem ksiądz proboszcz wstał z kieliszkiem w ręku, i rozpoczął długą orację, z której pamiętam tylko tyle, że cieszył się z powrotu kolatora, i z tego, że ma nową duszyczkę w swojej parafji, i że jako sługa Boga miłości pragnął, ażeby

wszystkie duszyczki miłowały się między sobą, i że potem tych duszyczek będzie coraz więcej, a parafja rymiszowska stanie za biskupstwo — z czego wynikło, że ksiądz proboszcz pije za zdrowie swojej nowej duszyczki, i że tą duszyczką jestem ja. Potem, ktoś mi kazał wziąć kieliszek do ręki, nie wiem już kto, i nagle ujrzałam przed sobą rękę p. Zgorzelskiego, także z kieliszkiem, a spojrzawszy mu w oczy, wzdrygnęłam się i wylałam wino na obrus, i znowu wszyscy śmieli się do rozpuku, bo oczywiście musiałam mieć minę bardzo niedorzeczną. To mię tak ubodło, że przyszłam do siebie, i naraz zerwałam się jak Demostenes, albo jaki szlachcic w Senatorskiej Zgodzie, i wyrecytowałam księdzu proboszczowi podziękowanie — jak was kocham — tej treści, że są duszyczki wybrane, a inne tylko powołane, i że pragnęłabym należeć do wybranych. W tej chwili ksiądz proboszcz przypadł do mnie i mało mnie nie udusił w swoich uściskach, i musiałam nie tylko trącać się kieliszkiem z nim i z p. Wacławem, ale nawet wypić trochę wina. Nie uwierzycie, jaka to zacna i święta dusza, ten proboszcz tutejszy, — wiecie, to ten sam, co p. Wacława jako sierotę przytulił i wychował, i o którym tyle od p. Wacława słyszałyśmy? Domyślacie się, jak serdecznie ucałowałam jego uczciwe ręce, i jak mu byłam wdzięczną. Wkrótce atoli, gdy panowie jeszcze ciągle pili wino, śmieli się i rozprawiali, pani Zamecka, która dotychczas nic nie mówiła, powiedziała, że angielskim obyczajem wypada nam zostawić ich samych i pójść do ogrodu. Na tem skończył się objad, a zaledwie byłyśmy w ogrodzie, przyłączył się do nas p. Zgorzelski, z tem, że „niechaj się starzy wygadają, a on tymczasem musi mi robić honory Rymiszowa, i pokazać mi ogród francuski, szpalery, cieplarnię, i park angielski.“ Biedna panna Wanda, której należała się przynajmniej połowa tych atencyj, spoglądała na mnie jak na straszną jakąś winowajczynię, ja zaś nie mogłam wierzyć moim oczom i uszom, by ten p. Zgorzelski, po tem, co wiemy, mógł zachowywać się tak śmiało i z taką pewnością siebie. Bez namysłu powiedziałam mu, ża park w Rymiszowie musi być znacznie dłuższy od naszego podwórza w mieście, i że nie wiem, czy można dobiedz na jego koniec tak prędko, jak u nas do bramy. Zrozumiał mię podobnoś, bo od tej chwili uwolnił mię od swoich „usług“ — ale panna Wanda od tego czasu ani słowa nie przemówiła do mnie tak szczerze i serdecznie, jak przed objadem. Co się tyczy pani Zameckiej, nie słyszałam z jej ust nic, oprócz bardzo ceremonjalnej „dobrej nocy“ przed godziną. Mówią, że ma być bardzo rozmowną, dowcipną i miłą — nic z tego wszystkiego nie uważałam, i sama nie wiem, co mię tak odpycha od tej kobiety. A papa mówił, że ona będzie mi matką, i że kiedyś tak ją nazywać będę! Nigdy — nigdy! Bałabym się zostać z nią sam na sam — boję się jej dotknięcia i nie wiem dla czego, zdaje mi się, że i ja nie mam u niej łaski. Za to papa jaki dobry, jak myśli o wszystkiem, czego mogę potrzebować, jak się zajmował tem, by mi było wygodnie i swobodnie! Ale już północ dochodzi, i Kseńka usnęła mimo strachów, kończę więc i całuję was i t. d.“

W jednej kopercie z tym listem, panny Skryptowiczówny otrzymały drugi, krótszy, pisany tej samej nocy, który dla uzupełnienia spisu aktów dołącza się tutaj. (C. d. n.)

Z dziedziny nauk przyrodniczych.

(Dokończenie).

SALAMANDRA.

Dziś już inaczej. Salamandra, to taką trwogą każdego przejmujące zwierzątko, mieszka często pod jednym dachem z ludźmi. Wszak to salamandra jest tym ulubionym mieszkańcem po akwarjach, gdzie niejeden z ciekawych rozkoszuje widokiem jej pięknej szaty czarnej, pokreślonej dziwacznie płomienistemi pręgami, i ubawi się doskonale, śledząc jej pocieszne ruchy i zwyczaje.

Wymagania jej w takiem akwarjum są bardzo skromne i przyzwoite. Bo choć czasem okazuje żarłoczność drapieżną, jest znowu w stanie długi czas, ba nawet pół roku, głodować formalnie, a wyżywienie jej nie wymaga żadnych wymysłów i zachodów. W potrzebie zadowoli się wszystkiem. Każdy owad i każdy robak smakuje jej wyśmienicie; nawet okruszkami z chleba nie pogardza; znachodzono przecie we wnętrzu salamander, że tak nazwę — dzikich, bo nie hodowanych w akwarjum, szczątki wegetabiljów, co wszystko najlepszym dowodem, jak mało one przebierają w rodzaju pokarmu. Pod tym względem stanowią też wyjątek z większej części płazów. Oprócz tego wcale nie należą do stworzeń delikatnej natury, i nie lada jaka przygoda zdolną pozbawić je życia. Przeciwnie, mało które zwierzę bardziej od niej wytrzymałe: można salamandrę skaleczyć ciężko lub zgnieść, a bynajmniej jej to nie zaszkodzi. Najcięższe zranienie przeboleje i powróci bez pomocy lekarza do dawnego zdrowia; a jednak z drugiej strony, rzecz na pozór nieszkodliwa przyprawia salamandrę o śmierć niechybną; potrzeba tylko raz zanurzyć ją w occie lub posypać szczyptą soli — a dostaje natychmiast gwałtownych konwulsyj i za kilka minut ginie bez ratunku.

Pod względem urządzenia mieszkanka w akwarjum, rychło dogodziliśmy jej pragnieniom. Przedewszystkiem musi ono wysypane być piaskiem lub ziemią i dostatecznie wodą zaopatrzone. W zbudowamej jaskini miniaturowych rozmiarów, ułożyliśmy kilka kamieni, jeden na drugim w ten sposób, by tworzyły ciemne szpary — i oto gotowe już apartamenta. Trochę mchu, trochę kamyczków rozrzuconych w koło są jej bardzo wygodne. Długie godziny siedzi ukryta w ciemnych budoarach, aż znudzona widocznie głuchą samotnością, wychyla się na światło, upatruje sobie z daleka wygodny do obserwacyj kamyczek, i zasiada na nim w zwykłej swej komicznej pozycji. Chętniej jeszcze zanurza się cała w wodę, i jeno głowę trzyma nad jej powierzchnią, uczepiwszy się przedniemi łapkami jakiego kamyczka. Tak przepędzi nieraz sześć godzin z rzędu.

W ogóle, salamandra jest bardzo leniwem stworzeniem, i nie chętnie porzuca raz obrane legowisko. Drażniona okazuje swoje niezadowolenie najwięcej chyba gniewnem poruszeniem głowy.

Niewtajemniczonemu w jej zwyczaje i usposobienie — musi mimowoli nasunąć się pytanie, jakim u licha sposobem potrafi salamandra przy swojej ociężałości i gnuśności łowić szybkie owady? Ale w tem ona mistrzynią i zaprawdę, zobaczyć warto ten zmysł dziki i elegancję ruchów, rozwiniętą na widok pewnego łupu. Prawda, że spokój powierzchowny, jak u wytrawnego szulera, nie opuści jej nigdy, choćbyśmy nawet odartą ze skrzydełek muszkę wrzucili do jej przybytku. Biedna muszka mruczy i brzęczy w koło, a salamandra wciąż obojętnem patrzy na przybysza okiem, że zdawałoby się w końcu: jej muszka ani w głowie. Ale niech przypadkiem przylezie do niej zbliska... Jak teraz jej oczy zaświeciły złowrogo i z jaką żarłocznością śledzą biedną ofiarę! Nagle, jeden rzut głową, tak szybki, iż go pochwycić niepodobna, równie szybko otworzyła się już i zamknęła paszczękę... oglądamy się za muszką... ale ta gdzieś zapewne zsuwa się już powoli chciwą gardzielą... Nie więcej zachodu potrzebuje choć przy znaczniejszej zdobyczy: rozcięty robak, ślimak, lub ta duża mucha stalowo niebieska — niech jeno znajdzie się w jej pobliżu — a przepadła na wieki... Po każdem takiem rozbójstwie siedzi, jak przedtem spokojna — udając przed światem, że trzech zliczyć nie potrafi... O! salamandra — to wyrafinowany zbrodniarz — w opinji much i ślimaków!

Jak bardzo żarłoczną i drapieżną bywa ona czasem, przekonałem się raz w mem życiu— nad wszelkie oczekiwanie. Z jednej górskiej wycieczki przywiozłem był sobie dziesięć wspaniałych egzemplarzy, zamierzając trzymać je społem, dla obserwowania ich życia towarzyskiego. Pewnego dnia przyszedł do mnie mój dobry przyjaciel, lekarz***, i widząc u mnie ten zbiór ciekawy, wymógł prośbą, żem mu darował jedną, i to najrośleJszą. Mówił mi, że posiada w swem akwarjum pięknego żółwia, wielkości jaja kurzego, któremu widocznie tęskniło się za towarzystwem stosownem.

Zdaniem mojego przyjaciela, salamandra mogła osłodzić mu niewolę. Po upływie tygodnia spotkałem poczciwego eskulapa na ulicy. Z kwaśną miną podał mi rękę i zanim zdołałem przemówić, zapytał sucho:—Zgadnij, co mi spłatała twoja salamandra?... Nie zgadniesz pewno... oto pożarła mi mojego żółwia!...

Dając wyraz memu wielkiemu zdziwieniu, w jakiby sposób salamandra pożreć mogła żółwia, zapytałem go dalej ze śmiechem, czy i twardą tarczę połknęła odrazu z miękkiem ciałkiem jego benjaminka? Na to opowiedział mi smutną przygodę *ab ovo.* Zaraz po pierwszych dniach spólnego ich pobytu wyglądało mu to trochę podejrzanem, że salamandra, zrazu bardzo przyzwoicie zachowująca się z przybranym towarzyszem niedoli, potem, ilekroć żółw odwrócił się do niej ogonkiem, zawsze robiła giest, jak gdyby pochwycić go chciała... I niestety, przewidywana klęska spełniła się rychlej, niż ją przeczuwał... Pewnego poranku schwyciła rzeczywiście piękny ogonek żarłoczną paszczęką, oderwała go nielitościwie i pożarła... z apetytem. Wkrótce potem biedny żółw zginął, pociecha i ozdoba zbioru mojego przyjaciela! Być może łatwo, że ten płyn z jej gruczołków, gdy zwilżył ranę, przyczynił się głównie do przedwczesnego skonu niewinnego żółwia.

Wszystkiemi siłami starałem się teraz ukoić w żalu po tej stracie poczciwego doktora, a na odszkodowanie ofiarowywałem mu cały mój zbiór salamander. On jednak oświadczył mi kategorycznie, że jak długo żyje, nie chce nic mieć do czynienia z salamandrami.

Sens moralny dla czytelnika z tej tragicznej przygody: że jeśli kto zechce sobie trzymać salamandrę w domu, niech nie mieści jej w tem akwarjum, gdzie posiada już inne jakie cenne okazy.

---

*

POGADANKI.

XLIV.

Astrologowie i inni czarownicy zapewniają, że na czas jakiś polityka teraz weźmie górę, i że szanowna publiczność wkrótce przestanie czytać literackie pogadanki. Byłoby to nader fatalnem dla uniżonego sługi i pogadankarza, ale ja temu nie wierzę, bo w starych historjach wyczytałem przykłady, które zupełnie co innego wróżą. Czy mogła być np. większa i bardziej zajmująca polityka, jak ta, która w miesiącu wrześniu 1683 zapędziła Jana Sobieskiego nad brzegi Dunaju? A jednak, posłuchajmy, co pisze do swojej Marysieńki, o milę od Preszburgu, dn. 19 września owego roku, w *siedm dni po odsieczy Wiednia.*

„Wmość moja Panno kochana wiesz jak rad czytam, a poczciwością moją to Wmości, sercu memu, powiadam, żem od samego Raciborza książki w ręku nie miał.“

Długi to był termin, od 24 Sierpnia licząc, dni 26. Przez ten czas, konno i zbrojno, Jan Sobieski przeleciał Szląsk, Morawę i Rakuzy, przebył Dunaj i z Kalenbergu jak piorun spadł na półksiężyce tureckie. Widział stolicę Habsburgów, gdy w pierwszem uniesieniu wdzięczności, całowała ręce, nogi i suknie jego. O krok dalej spotkał się z niewdzięcznością — jeszcze o krok, z wiarołomstwem — zwykła to kolej polityki. I goniąc wzdłuż Dunaju rozprószone hufce bisurmańskie, ten pierwszy rycerz chrześcijaństwa, ten król-bohater! ten pierwowzór prawdziwego szlachcica, nie zatęsknił za miękkiem łożem, nie zatęsknił za spokojem i wygodą domu, ani za blaskiem panowania: on zatęsknił za — książką!

Nam w dziale losów nie przypadło tyle sławy, ani jej odrobina — ale nie przypadło nam także tyle trudów i znojów. Niewdzięczności jedynie i wiarołomstwa, i nam uniknąć się nie zdarzy. Niewdzięczność i wiarołomstwo, wieją nad modrym Dunajem, płyną jego doliną, i od ich to barwy aż morze Czarne bierze swoje miano. Wszystko to — polityka, która nie tęskni za książką. Wszak znany ów rycerz-dyplomata, który się chlubił, że odkąd został porucznikiem, książki w ręku nie miał, a od porucznika do jenerała broni, dalej niż z Raciborza do Preszburga przez Wiedeń i przez 300.000 Turków. Nam natomiast za przykładem wielkiego króla, wśród polityki, wzdychać do książki. Dlatego to ufam, że przepowiednie archeologów i czarowników okażą się mylnemi.

* * *

I pospólstwo, i królowie, jeżeli zbytnie stronią od książki, narażają się nietylko na śmieszności, ale i na to, że z czasem inni coraz bardziej zaczynają mięszać się w ich interesa i działać w ich imieniu. Cóż z tego, że później król jegomość wszystko, co się stało, może włożyć na barki ministra? Złamane słowo monarsze, ukrócone swobody ludów, podeptane prawa narodowości, wszystko to mimo konstytucjonalizmu, pada plamą na płaszcz królewski, nie mniejszą wcale choć kontrasygnowaną przez ministra. Mówi się to oczywiście tylko o przeszłości, bo teraźniejszość ma swoje odrębne prawidła, nie wchodzące nawet w zakres *Tygodnia.* Teraźniejszość należy do polityki, od której książka jest najlepszym specyfikiem, jak się rzekło wyżej, i której krytyka historyczna nieco przyostra, prowadzi prosto do kozy, w krajach konstytucyjnych, lub pod nożyce cenzorskie, w krajach używających roskoszy absolutnego rządu. Ostrożny człowiek nie mówi nigdy o rzeczach, które się wydarzały później, niż dwadzieścia lat temu.

Otóż, wydarzało się nieraz, że i król i minister niewinni byli zupełnie temu, co się działo pod ich rządem. Za panowania jednego z pierwszych trzech Jerzych angielskich, prezydent tajnej rady, a więc nielada dygnitarz — więcej niż u nas tajny radca — spotyka na ulicy kapitana C. Minister miał minę tak zafrasowaną, że kapitan zmuszonym był spytać się, co tak trapi Jego Ekscelencję.

— Panie, nieszczęście! Trzydzieści tysięcy Francuzów przybyło z Akadji do Cape Breton.

— A to szczególna rzecz! Zkąd też oni wzięli statki transportowe dla tak znacznej liczby wojska? Chyba ich nasz admirał sam przewiózł!

— Ba, wszak przymaszerowali lądem!

— Lądem do Cape Breton? Ekscelencja żartujesz, wszak Cape Breton jest wyspą.

— Kapitanie, czy jesteś zupełnie pewnym tego co mówisz?

Zamiast odpowiedzi, kapitan zaprowadził ekscelencję do księgarni, i przekonał ją, że Cape Breton w istocie jest wyspą. Minister rzucił mu się na szyję.

— Drogi, kochany kapitanie, który zawsze przynosisz pożądane nowiny! Cape Breton jest wyspą! Biegnę co tchu, donieść o tem królowi, aby się nie martwił! Cape Breton jest wyspą!

Król oczywiście ucieszył się bardzo tą nowiną, bo i on nie wiedział, że Cape Breton jest wyspą, i że pogłoska o zajęciu jej przez Francuzów, jest nonsensem. Na szczęście dla Anglji, oprócz króla i Jego Ekscelencji byli inni ludzie, którzy zajmywali się jej sprawami, ale coby się też stało z państwem, w którego najwyższej radzie niktby nie wiedział, jakiemi językami mówią rozmaite narody, i jak się najlepiej mogą porozumieć między sobą? Słyszałem wszakże, a raczej czytałem gdzieś niedawno, że są i takie państwa.

Jan Lam.

Piśmiennictwo polskie.

(*Kilka słów o M. K. Sarbiewskim, szczególnie w stosunku jego do Horacyusza. Podał L(eon) K(ulczyński), nauczyciel gimnazjum św. Anny. Kraków. Sprawozdanie dyrektora c. k. gimnazjum Nowodworskiego czyli św. Anny. 1875.*)

Nie wszystkie szkoły średnie w kraju naszym ogłaszają roczne sprawozdania, których główną częścią powinne być zawsze rozprawy w jakiej materji naukowej. Najnowsze rozporządzenie ministra oświecenia włożyło na każdy publiczny zakład średni w Austrji obowiązek, wydawania rocznych programów, których najważniejszą część stanowić mają właśnie prace z dziedziny jakiej nauki, czy umiejętności. Profesorom szkół średnich, z których każdy powinien być fachowo uzdolnionym do nauczania swego przedmiotu, podano tem rozporządzeniem sposobność do ogłaszania drukiem prac takich, które dla swej wyłącznie naukowej cechy i z powodu specjalności obranego tematu ani do pism czasowych łatwo się nie nadają, ani też znaleść mogą nakładcę, któryby się podjął osobnej publikacji. Sprawozdania szkolne, dotąd albo zbyt rzadkie, albo też niezajmujące swą treścią, zwracać mogą teraz na się uwagę wszystkich miłośników nauk i literatury. Nie jedno ziarno cennej prawdy może być w nich zawartem.

Mamy właśnie pod ręką program gimnazjum Krakowskiego ś. Anny, a w nim rozprawę literacką pod powołanym wyżej tytułem. Autor, pan Leon Kulczyński, wziął sobie za główne zadanie porównać jeszcze raz naszego Sarbiewskiego ze starożytnym Horacjuszem. Nie zajmuje się więc prawie wcale szczegółami życia i osoby polskiego pieśniarza, choć same utwory tego poety i listy, a mianowicie te ostatnie, wiele mogłyby rzucić światła i przydać wiadomości, dotąd jeszcze zupełnie nieznanych, odnoszących się nie tylko do samej osoby Sarbiewskiego, ale i rozjaśniających w niejednym względzie ten lub ów jego pomysł poetyczny.

Pisano o Sarbiewskim jako o poecie i oceniano jego utwory dopiero u schyłku zeszłego stulecia, i w wieku naszym, właśnie więc dopiero w chwili, kiedy poezja artystyczna narodów zachodniej i środkowej Europy, rozbrat biorąc z poezją klasyczną, poszukiwać poczęła nowych żywiołów twórczych dla siebie. W chwilach takich i śród okoliczności tego rodzaju, nie trudno o sądy wprost ze sobą sprzeczne. Tak było z naszym poetą. Podczas gdy jedni wynosili Sarbiewskiego i stawiali go wysoko po nad rzymskim Horacjuszem, znaleźli się drudzy, którzy nawet prawie od talentu poetyckiego odsądzić byli gotowi polskiego piewcę. Pan Kulczyński, autor powołanej rozprawy, nie trzyma stanowczo ani z jednymi, ani z drugimi. Powiada wprawdzie, że sam pomysł porównania Horacjusza z poetą piszącym po łacinie w XVII wieku wydaje mu się nieszczęśliwym, ale przyznaje przecież, że talentu poetyckiego Sarbiewskiemu odmówić nie można, choć tenże „szamotał się ciągle w pętach, jakie na poezję jego włożyła źle zrozumiana szkolna erudycja w postaci łaciny, a nie miał odwagi, aby je zerwać.“ Nie roztrząsa więc wcale tego „przewrotnego“ pytania, ani się niem zajmuje: kto większy, Horacy czy Sarbiewski? — woli raczej zastanowić się nad tem, co i jak pisarz polski przejmował od pisarza rzymskiego.

Rozumie się, że najsamprzód wypadło potrącić o technikę poetyczną, a w szczególności o budowę strof i wierszów, tudzież o styl, zwroty, porównania i o całą architektonikę utworów obu poetów. Autor rozprawy zestawia troskliwie podobne pod temi względami miejsca u Horacjusza i Sarbiewskiego; a co się tyczy porównań poetycznych i obrazów, nie poprzestaje na samem ich tożsamości lub podobieństwa wskazaniu, lecz zapuszcza się także w ocenę, czy idący za Horacym polski poeta użył stosownie pożyczonych porównań, czy nie. Toż samo odnosi się także do planów, które we względzie architektonicznym służyły za podstawę poszczególnym odom. Sąd recenzenta wypada w tych kwestjach nie zawsze na korzyść naśladowcy Augustowskiego poety. Nie wypływa ztąd wszelako wcale, ażeby Sarbiewski nie tworzył taże obrazów i podobieństw poetycznych niezawiśle od swego wzoru, tudzież ażeby nie miał oryginalnych pomysłów w zakresie architektoniki swoich utworów. Zdaniem p. K. były takie porównania zwykle trafne i o dobrym świadczące smaku, a plany samodzielne wcale się udawały poecie.

Większego interesu nabiera druga część rozprawy p. Kulczyńskiego, w której tenże zastanawia się nad głównemi czynnikami poezji

tak Horacego, jak Sarbiewskiego. Do tych czynników poetycznych należą: przyroda, religja, społeczność i ojczyzna. Stosunek obu poetów do przyrody podobny: żaden z nich nie przedstawia wiekuistego ducha ludzkiego w wyższości odnośnie do bezrozumnych tworów natury samej, co się dopiero w chrześcijańskiem uwydatniło społeczeństwie, ani też nie ma u nich greckiej harmonji owych dwóch światów; przy tem wszystkiem jednak umiał Sarbiewski uczuć w naturze więcej żywotności i więcej się do niej przywiązać. Co do zasad ludzkiego życia, kierował się starożytny poeta wszędzie rozumem, opartym na doświadczeniu. Poeta polski te ogólne zasady filozofji życia pojął dobrze i trafnie odtworzył; ale podczas, gdy Horacemu prócz jego filozofji, wiara i religja żadnych co do celu życia i zachowania się nie podawały wskazówek, znalazł Sarbiewski właśnie w tej kwestji w chrześcijaństwie i jego nauce czynnik nowy i ważny, i wprowadził go jako poeta chrześcijański, choć po łacinie piszący, do poezji. Regulatorem życia u poety naszego Złotego wieku jest Bóg i jego wola, a celem ostatecznym żywot wieczny, do którego dążyć ma człowiek. Autor rozprawy zwraca uwagę na piękne modlitwy i pieśni polskiego piewcy do Chrystusa Pana, do Matki Boskiej i do niektórych świętych, lecz nie może mu darować zespolenia pierwiastków wiary chrześcijańskich z owemi wyżej napomkniętemi, choć ogólno ludzkiemi, zasadami pogańskiej filozofji. (Dok. n.)

Jubileusz Michała-Anioła

przez

Dr. Artura Wołyńskiego.

(Ciąg dalszy.)

Florencja d. 20. września 1875.

IV.

Godzina szósta minęła, gdyśmy stanęli przy starożytnej bramie San Niccolo, przylegającej do podnóża San Miniato, którego boki pokryte kłąbami kwiatów i krzewów, szeregami balustrad, grot i fontan, wreszcie różnokolorowemi gromadkami ludzi, przy czarownem oświetleniu zachodzącego słońca, przedstawiały widok malowniczy, jakieś dziwne zjawisko, pomimo swej rzeczywistości wydające się złudzeniem, mirażem. Żółto - pomarańczowe światło konających promieni słońca, odbijając się o zieloność krzewów, robiło wrażenie łuny... ogni bengalskich... — powiem, gorejącego ognia, wszystko ogarniającego swoim płomieniem; padając zaś na różnobarwne jedwabne sukienki niewiast, tworzyło nieustannie migającą się tęczę, a koncentrując się w bryzgach wody już to do góry wyrzucanej, już to spadającej na dół, zamieniało takowe na szmaragdowo - brylantowe bukiety, w powietrzu jak eter niknące. Wśród takich blasków natury i nieustannych niespodzianek, po krętych drogach piął się do góry orszak, aż wreszcie o godzinie 7ej całkowicie stanął na placu Michała Anioła, gdzie właśnie około pomnika Dawida oczekiwał nas ks. Eugenjusz Carignano, jako reprezentant króla i królewskiej rodziny, i komandor Sylwiusz Spaventa, minister robót publicznych, jako reprezentant rządu. Chorągwie pokłoniwszy się pomnikowi Michała Anioła, zwolna w różnych kierunkach zaczęły powracać do miasta, reprezentanci tylko ciał uczonych zostali na placu i wieńcem otoczyli Dawida. Po odsłonięciu czterech napisów Cezara Guasti, umieszczonych na jego podstawie, kolejno głos zabierali: Jan Paganucci, prof. tutejszej Akad. sztuk pięk.; kom Spaventa, Meissonier, Karol Blanc, L'Alvin, L. Medhal, Amercio, hr. Conti di Portoginaro i Tomasz Paschidi grek. Każdy z tych mowców ze swego stanowiska podnosił zasługi i wpływ Michała Anioła. Komandor Meldhal wręczył księciu Carignano jubileuszowy adres Akademji szt. pięk. z Kopenhagi. Dopiero o godzinie 8ej zakończyły się mowy, po których reprezentanci spiesznie powrócili do miasta, aby zjadłszy objad i odpocząwczy nieco, udać się na recepcję u prefekta, reszta zaś zgromadzonego ludu pociągnęła do Tivoli, na festyn, czyli jak tu nazywają *festival campestre.* Tak się zakończył dzień pierwszy trzydniówki jubileuszowej, a do skompletowania naszej relacji należy nam tylko dodać, iż tegoż samego dnia w popołudniowych godzinach, Municypium w Pietrasanta wobec licznie zgromadzonego ludu z okolicy, odkryło dwa napisy na prywatnych domach, umieszczone na pamiątkę, że w nich mieszkał Michał Anioł 1518 roku, gdy przybył robić zakup marmurów do frontów kościoła św. Wawrzyńca, że w nich podpisał odnośne kontrakta dnia 10. marca, 27. marca i 1. czerwca t. r.

Program dnia drugiego był następujący: o 10ej godzinie inauguracja Muzeum Michała Anioła, o 1ej inauguracja kongresu architektów i inżynierów, o 6ej objad dworski w pałacu Pitti, o 9ej koncert i bal w resursie florenckiej. Na inauguracji muzeum i kongresu prezydował ks. Carignano, który znowu był gospodarzem domu podczas objadu.

Muzeum Michała Anioła stanowi obszerna sala, przybudowana do istniejącej już galerji obrazów w Akademji sztuk pięknych, tem się różniąca od innych, iż będzie oświetlona z góry. Salę tę zbudowano (dotąd nie ma jeszcze posadzki i dach jest nie skończony) zrazu na pomieszczenie tylko kolosalnej statuy Dawida, która stojąc pod gołem niebem przy drzwiach Palazzo Vecchio groziła zawaleniem się, następnie zaś przeznaczono ją na muzeum, mające zawierać wszelkie odlewy z rzeźb Michała Anioła znajdujących się po za Florencją. Rzeczywiście w około Dawida stojącego w pośrodku, gustownie pomiędzy filarami poustawiano przy ścianach następujące odlewy: 4 figury zdobiące groby Medyceuszów: „Noc i Dzień," „Zmierzch i Brzask," „Mojżesz" a także i dwie figury poboczne z pomnika Juljusza II, w kościele św. Piotra w Okowach w Rzymie, Pietà, z Bazyliki św. Piotra w Rzymie, „Chrystus z krzyżem" z Minerwy w Rzymie; „Dwaj niewolnicy", niedokończone figury naturalnej wielkości, które były przeznaczone do mauzoleum Juljusza II, a które teraz znajdują się w Luwrze; Karjatyda z Petersburga, wielki biust Pawła III, z muzeum Neapolitańskiego, Madonna z Chrystusem z muzeum Berlińskiego, mała Madonna z Chrystusem z kościoła w Brouges we Francji, Kupido, Św. Rodzina w płaskorzeźbie znajdująca się w katedrze florenckiej; św. Petronyusz i dwa świeczniki z Bolonji, oraz św. Jan w dzieciectwie (San Giovannino) należący do hr. Rosselmini w Pizie. Figurka jest bardzo ładna, ale bardziej zdaje się być dziełem Donatellego, aniżeli Michała Anioła, a to dla braku energji w wyrazie twarzy, w ułożeniu postawy i sprężystości w muskułach. Ma być powołaną cała tutejsza Akademja sztuk pięknych do wydania ostatecznej decyzji co do autora tej statuetki. Przed kilkoma laty hr. Rosselmini za 230.000 lirów kupił pałac w Pizie z wszelkiemi sprzętami i marmurowemi statuami, pomiędzy któremi znalazł figurkę San Giovannino, przypisał ją Michałowi Aniołowi i wystawił na sprzedaż za 200.000 lirów. Niektórzy artyści podzielają zdanie hr. Rosselmini, ale że nie wszyscy stają po jego stronie, Akademja więc tutejsza ma spór rozstrzygnąć i albo odlew usunie z muzeum Michała Anioła, albo go zatrzyma, a wtedy szczęśliwy posiadacz podwoi swe pretensje i ceną tej figurki pokryje wydatek za cały pałac. Oprócz odlewów gipsowych zgromadzono w pobocznej sali piękną kolekcję fotografij z malowideł i rysunków Michała Anioła; i tak 119 arkuszy wykonanych przez Adolfa Brauna, przedstawia Sąd ostateczny i alfreski kaplicy Sykstuskiej—dwie olbrzymie fotografie kartonów Neapolitańskich, Anglja przysłała 45 reprodukcyj najlepszych szkiców i rysunków (Windsor Castle 15, British Museum 21 i 9 od prywatnych) muzeum Louvre 29, Lille 7, prywatni Francuzi 8, wreszcie Weimar 16. W chwili inauguracji widziałem sześć dość wielkich fotografij przedstawiających Sąd ostateczny i pomnik Juljusza II z napisem: „dono di Pio IX.", ale gdym przyszedł d dia następnego znalazłem inny napis: „dar biskupa Florenckiego." W tejże sali umieszczono także koronę srebrną, darowaną przez Niemców, adresy otrzymane z powodu jubileuszu i maleńki biust Michała Anioła, z piedestalem umieszczonym na wysokiej kolumnie. Wszystko te wykonane jest misternie z różnokolorowych twardych marmurów i kamieni przez uczni tutejszej szkoły mozaik. Tu także znajdują się: model rusztowania, za pomocą którego po szynach żelaznych przewieziono Dawida do Akademji, kilka obrazów olejnych, mających związek z Michałem Aniołem, i kilka jego szkiców glinianych.

Z pomiędzy 7 adresów, cztery są oprawne w nader piękne okładki, szczególniej adres wiedeński zwraca wszystkich uwagę swemi złotemi i srebrnemi ozdobami, gustownie umieszczonemi na safianowej oprawie. Oprócz adresu frankfurtskiego i wiedeńskiego, o których już mówiłem, znajdują się: z Monachjum, Weimaru, Darmsztadt, z Kopenhagi i Sztokholmu. Dwa ostatnie adresy są pisane po włosku, wszystkie inne po niemiecku.

Dział obrazów olejnych jest bardzo skromnie reprezentowany: starożytny portret Michała Anioła, kopja Sądu ostatecznego, a raczej głównej tylko jego grupy z Chrystusem i obraz przedstawiający jakąś wieszczkę wschodnią, który namalował albo sam Buonarroti, albo też jeden z jego uczniów podług dokładnego rysunku ołówkiem, jaki dotąd zachowuje się w Uffiзjach. Cieszy nas bardzo, iż ten obraz był wystawiony przez naszego rodaka p. Antoniego Zaleskiego, znanego ze swych ilustracyj polskich poetów, który oprócz tego wystawił tu medaljon Michała Anioła w stalorycie wykonany przez Roccasone w 1545 roku, a zatem na 20 lat przed śmiercią mistrza, odbity czerwoną farbą. Zdaje się, jest to dziś unikat. Tymczasowo tylko zgromadzono tu aż sześć glinianych szkiców, wedłúg których Michał Anioł wykonywał swe cudne rzeźby. Cztery z tych szkiców przedstawiają: Noc i Dzień, Brzask i Zmierzch, z których jeden oddawna należy do tutejszej Akademji, dwa inne są własnością hr. Rucellai, a pan Charponti jest posiadaczem „Nocy." Prof. Santarelli wystawił szkic „Rzeki," a dr. Checchi „Mojżesza," który ze wszystkich szkiców jest najwięcej wykończony.

Dziwnym zbiegiem okoliczności muzeum Michała Anioła zwane także Muzeum Dawida, zostało otwarte 13go Września, to jest w rocznicę dnia, w którym Buonarroti 1501 roku rozpoczął kuć go w marmurze, jak o tem nas poucza własnoręczna jego notatka.

Tego samego dnia o 1. godzinie po południu w sali Senatu został inaugurowany kongres architektów i inżynierów w obecności księcia Carignano, mowami syndyka florenckiego, ministra robót publicznych i inżyniera Francolini, prezesa komisji przygotowawczej. Następnie sekretarz Pini zawiadomił, iż 575 członków przybyło na kongres, których podzieli się na 10 sekcyj, oddzielnie mających obradować. Po opuszczeniu sali przez ks. Carignano, kom. Spaventa, hr. Peruzzi i innych osób — członkowie kongresu przystąpili do obioru prezydencji, do utworzenia sekcji i do ułożenia planu obrad.

Wieczorem o 6 godzinie miał miejsce w pałacu Pitti objad dworski, na który ze 103 zaproszonych osób przybyło tylko 82. Oprócz 23 cudzoziemców reprezentujących zagraniczne Akademje, zresztą same tylko znakomitości italskie były na objedzie.

Wieczorem w resursie Florenckiej zwanej Casino Borghese (od Pałacu, który dawniej należał do Borghesich a dziś jest własnością hr. Dzieduszyckich) zgromadziło się do 1000 osób na koncert, wykonany przez orkiestrę Jefte Sbolci między 10 a 12. Oprócz Symfonji Rossiniego, Gavotte Ludwika XIII, Hymnu do Madonny przez Lefebure, i walca Ascher'a odegranych przez całą orkiestrę, śpiewano arje, duety i terzety z Mozarta (Don Giovanni) Verdego (Don Carlos i Siła przeznaczenia) Rossiniego (Otello) i Donizettiego (Lukrecja Borgja). Po opuszczeniu sali przez ks. Carignano, który był obecnym na całym koncercie, około 1. po północy rozpoczął się bal, który przeciągnął się do rana.

Dnia 14go Września, a trzeciego uroczystości jubileuszowych, w samo południe w dawnej auli senatu odbyło się publiczne posiedzenie Akademji della Crusca i Akademji Sztuk pięknych zaszczycone bytnością ks. Carignano.

Po dwóch długich mowach, jakie mieli prof. Emil De Fabris, prezes tutejszej Akad. Szt. pięk. i prof. August Conti Arcykonsul Akademji della

Crusca, na propozycję hr. Peruzzi całe zgromadzenie udało się do domu Danta, nieopodal na placu Ś. Marcina znajdującego się, który w roku zeszłym nabyło tutejsze municypjum i pięknie kazało wyrestaurować. w stylu quattrocento. Skromny domek dwupiętrowy o dwóch oknach stanowił siedzibę Aligherich, — których herb wykuto teraz nad drzwiami w granicie — jakim cały fronton domu pokryto. Przed domem Danta, hr. Peruzzi miał bardzo ładną mowę o protoplaście poezji italskiej, która pod względem natchnienia i wartości literackiej przewyższyła wszystkie inne, jakie w czasie jubileuszu wypowiedział.

Wieczorem o 8ej godzinie zakończyły się uroczystości iluminacją na San Miniato i na wszystkich okolicznych wzgórzach, poczynając od Fiesole, Vincigliata, Antella, Ripoli, aż do Poggio Imperiale i Bellosguardo. Doprawdy trudno powiedzieć, co było wspanialszego, czy cała okolica na milę w przestrzeni gorejąca, czy też wzgórze San Miniato ziejące różnokolorowym ogniem. Widziałem daleko większe i bogatsze iluminacje za granicą, a żadna nie zrobiła na mnie tyle wrażenia, co florencka. San Miniato z placem Michała Anioła wydawało się z oddali najcudniejszym wschodnim transparentem, na wierzchu którego dominowała statua Dawida, nieustannie różnokolorowym promieniem elektrycznym oświecana. Zbliska tracił się ogólny rysunek, a występowały szczegóły, których różnobarwna balustrada placu Michała Anioła, wydająca się czarodziejskim pomostem nad szeregiem drzew i fontan — i chińskie pagody około Dawida, zbudowane z przeźroczystej białej tkaniny, przepuszczającej światło lamp kolorowych pozawieszanych wewnątrz i zewnątrz, zwracały powszechną uwagę. Florentczycy nie posiadali się z radości, nigdy bowiem podobnej iluminacji w swem mieście nie widzieli.

Przechodząc do iluminacji całej doliny, ze wszech stron zamkniętej kończynami Apenińskiego łańcucha, winienem dodać, iż kosztem klubu Alpinistów płonęły stosy drzewa na wszystkich szczytach gór okolicznych, których znowu grzbiety zwolna schodzące do Arna i kąpiące się w jego wodach — jaśniały tysiącem migających się świateł, w jakie rzęsisto się przystroiła każda willa — każde niemal zabudowanie — znajdujące się w owej kotlinie. Jeszcze się nie skończyło, a już masa gości opuściła Florencję, korzystając z wieczornych pociągów. Książę Carignano umyślnym pociągiem także wyjechał z naszego miasta po północy, udając się z powrotem do Turynu.

Trydium jubileuszowe zakończyło się dwoma biesiadami, z których jedna daną była w restauracji Victoria na cześć syndyka, przez kilkunastu tutejszych młodych patrycjuszów, powołanych przez tegoż do przyjmowania gości i czuwania nad porządkiem w czasie jubileuszu, drugą zaś sprawił dr. Karol Pancrazi, dyrektor i właściciel największego w Italji dziennika *Gazzetta d' Italia*. Uczta municypalna dopiero po powrocie hrabiego Peruzzi ze stacji kolei żelaznej, (dokąd się udał na pożegnanie ks. Carignano) rozpoczęła się po północy i trwała do trzeciej godziny z rana, przy udziale 21 osób, pomiędzy którémi znajdował się nasz rodak, niedawno tu naturalizowany hr. Aleks. Dienheim Brochocki, jako członek tejże komisji. W bankiecie dziennikarskim wzięło udział przeszło 60 osób, to jest oprócz dr. Pancrazi i jego nadobnej małżonki pani Faustyny, cały skład redakcji i administracji *Gazety Italskiej*, wszyscy redaktorzy dzienników florenckich i korespondenci pism italskich i zagranicznych, którzy się dali poznać w tym charakterze. Z wyjątkiem p. Appel, który stale mieszka we Florencji, ani jeden dziennikarz niemiecki nie przybył na bankiet, tak się bowiem obrazili na komitet uroczystości, że odmówił publicystom biletu reprezentanta, dającego do wszystkiego przystęp, iż usunęli się na stronę i w niczem udziału wziąć nie chcieli. Około północy zaczęli się zjeżdżać zaproszeni goście do willi Niccolini, o pół godziny drogi położonej za miastem na najpiękniejszem wzgórzu przylegającem do Arna, od swej czarującej pozycji nazwanem Bellosguardo. Rzeczywiście z obszernego tarasu willi, z większą starannością od innych niluminowanej, nie mogliśmy się nasycić cudnym widokiem, jaki przed nami roztaczała okolica równocześnie oświecona tysiącem lamp i ogni, i bladawym blaskiem księżyca z po za gór się wysuwającego. Po pierwszej godzinie, kiedyśmy się już wszyscy poznali wzajemnie i zbliżyli, zasiedliśmy do stołu suto zastawionego i mieliśmy sposobność ocenić dobry gust i troskliwość gospodyni domu.

Pod koniec biesiady gospodarz wnosząc zdrowie swych gości dał początek toastom i mowom, — które przy kipiącym szampanie jak spadzisty potok prędko jedne po drugich płynęły tak, iż doszliśmy do poważnej cyfry 27. Niestety ani jedna z tych mów nie potrąciła o imię Polski, chociaż kilkakrotnie wyliczano narodowości w zgromadzeniu tem reprezentowane, chociaż umyślnie starałem się wywołać toast na cześć Polski, lub też na cześć braterstwa z Polską. Sądząc po spełnionych 12 toastach, że lada chwilę wstaniemy od stołu, zabrałem głos i temi słowy przemówiłem językiem Danta: „Przed rozejściem, pozwólcie mi koledzy po tylu już toastach spełnionych wnieść jeszcze jeden, który pod pewnym względem ma związek z uroczystością, jaka nas zgromadziła w gościnnym domu doktora Pancrazego. Boskiego Michała Anioła podziwiamy nie tylko jako niezrównanego artystę, genjusz wielki i wzniosły umysł, ale także jako szlachetnego obywatela kraju i dzielnego obrońcę wolności i niepodległości ojczyzny, dla których poświęcił swój stosunek z protektorami (Medyceusze), swój spokój, karjerę i własną osobę. To o czem marzył i za czem wzdychał Buonarroti, po 4 wiekach ciężkich prób spełniło się za dni naszych, i dziś widzimy Italję, jedną, wolną i niepodległą. Odrodzenie to szlachetnego narodu w znacznej części przypisać należy dzielnemu Wiktorowi Emanuelowi Sabaudzkiemu, *al Rè Galantuomo*, którego kochają swoi, podziwiają obcy. Pijmy więc zdrowie króla Italji, który stał się symbolem nowej ery w życiu ludzkości, a niejako także i zadatkiem dla narodów nieszczęśliwych, że i one podobnie jak Italja osiągną cel swych pragnień. Niech żyje król italski!“ Rzęsistemi i przeciągłemi oklaski obsypali moje przemówienie Itale, lecz jak mi się odpłacili, zaraz zobaczycie. Zaledwo ucichły oklaski i wołania *bravo!* podniósł się hr. Jan Arrivabene, garybaldczyk z 1849 i 1860 roku, obecnie redaktor *Gazzetta di Firenze*, od lat kilku osobiście mój znajomy i mniej więcej w te odezwał się słowa: „Przyznaję się panowie, iż serce moje nie posiada się z radości, słysząc imię Wiktora Emanuela z taką czcią wymówione ustami cudzoziemca (zamiast powiedzieć Polaka), nie weźmiecie mi więc za złe, iż z równą życzliwością i bezstronnością wniosę zdrowie naszych sprzymierzeńców, a zwłaszcza Mac-Mahona!“ Nie sądźcie, aby umieszczenie mego nazwiska na czele podpisów na dwóch adresach, jakie rozchodząc się o świcie, w imieniu dziennikarstwa zagranicznego i krajowego na dowód uznania, szacunku i wdzięczności do hrabiego Peruzzi i Karola Pancrazi wystosowaliśmy, pochodziło ze względu dania mi jakiejkolwiek satysfakcji. Przyczyną tego honoru, jest to poprostu, iż należałem do redakcji tych adresów i przepisałem je na czysto. Nawiasem wspomnę tu, iż adres dziennikarzy do Syndyka miasta zrobił wielkie wrażenie na artystach, że zaraz zawiązali komitet złożony z pp. Airoli, Cammarota, Conti, De Passano, Salvago, Tassara, Valerga, i Ussi, celem zebrania składek na złoty medal odbić się mający na cześć hr. Peruzzi. który tyle położył zasług w inicjatywie, urządzeniu i przeprowadzeniu uroczystości jubileuszowych Michała Anioła. Zaledwo rozeszła się wieść o tym projekcie, kilkanaście podpisów przyniosło przeszło 500 lirów. Można się spodziewać, iż medal ten będzie okazały i wielki.

(C. d. n.)

BIBLIOGRAFJA.

Polska.

— Geografja powszechna ułożona dla użytku szkół średnich, tudzież dla nauki samodzielnej przez Bolesława Baranowskiego i Ludwika Dziedzickiego, wtóre zupełnie zmienione i rozszerzone opracowanie geografji Adama Wiślickiego, z zestawieniem dat podług nowej metrycznej, jakoteż podług dawnej miary. Zeszyt I. II. we Lwowie — 1876.

Z pomiędzy wszystkich umiejętności, które w ostatnich czasach się rozrosły, żadna tak z gruntu przekształconą nie została, jak nauka geografji. Za przewodem Humboldta, Rittera i ich następców. Powstała nowa szkoła geograficzna, oparta na badaniach przyrodniczych i na licznych opisach podróżników.

Geografja, dotąd w szkołach po macoszemu traktowana, polegająca na suchem wyliczaniu miejscowości, stanowiła martwy balast, obciążający niepotrzebnie pamięć. Dziś przekształciła się ona w istotną naukę, usilując powiązać przedmioty i zjawiska w pragmatyczny związek. Geografja polityczna jako zależna częstokroć od woli jednego człowieka, została usuniętą na drugi plan, a na pierwszym planie stoi dziś geografja matematyczna i fizyczna. Geografja dzisiejsza opisując powierzchnię ziemi, stawia człowieka pośród świata i wykazuje, jak on z jednej strony zawisł od otaczającej go przyrody, a z drugiej strony, jak starał się z pod tej zależności wyłamać. Tym sposobem stanowi ona spójnię między naukami przyrodzonemi a historją, jak to określił znakomity geograf Guthe we wstępie do swej geografji, która przez Kramsztyka i Wilkowskiego została przełożoną w Warszawie na język polski. Dzieło to jednak zbyt wielkich rozmiarów nie może być używane w naszych szkołach średnich. Dziś, gdy i u nas zaczynają wykładać geografję w ten sposób rozumianą, podręcznik do nauki tak pojętej okazał się niezbędnym. Autorowie z olbrzymiego materjału geograficznego wybrali rzeczy istotnie ważne i podali w sposób przystępny. Część traktująca o kosmografji a opracowana przez jednego z naszych lepszych pedagogów, p. Bolesława Baranowskiego, wyszła w osobnej odbitce. Z jakich jednak powodów autorowie nazwali swoją prawdziwie samoistną pracę choćby zmienionem opracowaniem geografji Wiślickiego, recenzent żadną miarą domyśleć się nie mógł! Czy przez skromność? Wszak praca sama się chwali, od kogokolwiek wyjdzie.

— Spaczona główka. Powieść przez Leopolda Winklera. Kraków 1875.

Spaczoną główką rozpoczyna autor prawdopodobnie nowicjat powieściopisarski, zasługuje więc na łaskawe względy czytelnika. — Sądząc nawet powyższą powieść, raczej powiastkę, miarą szczerej pobłażliwości, niewiele jeszcze ciekawego o tej próbce literackiej powiedzieć by można; snać główka spaczona i powieść samą spaczyła. — Opowiadanie sięga najnowszej epoki krakowej, osoby przesuwające się przed oczami czytelnika są tam tak powszednie, niemal codzienne, że podobne widziałeś wczoraj, ujrzysz je dziś i jutro znowu obaczysz. Młodzi się kochają, raczej bawią się — panna Antonina kokietuje, pan Edmund biedzi się i kłopoce, pan Adolf z lwiem sercem i dorodną facjatą lowi serca, pani Morelska robi plotki, panna Marja wzdycha do Adolfa, Adolf do Antoniny, panna oświadcza się paniczowi, jednem słowem wszyscy są w spaczonem usposobieniu i niezwyklej gorączce. Przytem bezbarwne djalogowanie na balowych salach, ot i koniec powieści. Podobną można usłyszeć w żywem opowiadaniu w każdem towarzystwie. Jedyną może stroną dodatnią byłby język dość gładki, chociaż czasem dość niejasny. Chęć autora widoczna — zdolności jednak nie dopisały.

— Biblioteka pisarzy polskich. Lipsk — 1875 — Brockhaus.

Tom LXXI tego wydawnictwa zawiera historję powstania na Wołyniu, Podolu i Ukrainie w roku 1831“ opisaną podług podań dowódzców i współuczestników tegoż powstania, przez Feliksa Wrotnowskiego. — Tom LXXII mieści w sobie zbiór pamiętników o powstaniu Litwy w roku 1831, ułożony także przez Feliksa Wrotnowskiego.

— O szkołach początkowych. — I Samouctwo. — Klasa wstępna. — Przez autora Wielkiej i Małej Polityki. W Krakowie — 1875.

— „Z lat ubiegłych“. — Poezje przez Edmunda Ł. Lwów — 1875.

— „Spaczona główka“. — Powieść przez Leopolda Winklera. Kraków — 1875.

Wiadomości z kraju i ze świata.

Zjazd.

— Dnia 31. bm. rozpoczyna się we Lwowie zjazd delegatów wszystkich w Galicji istniejących stowarzyszeń ochotniczych straży ogniowych. Celem zjazdu jest utworzenie Związku strażackiego w za-

miarze doskonalenia straży istniejących, i zawiązywania nowych, tak żeby sieć tych organizacyj rozłożona po kraju stawała się coraz gęstszą. Przybycie swoje zapowiedziało 56 straży ze wszystkich okolic kraju, a liczba delegatów i uczestników Zjazdu dochodzi 300. Obradom mają być poświęcone dwa posiedzenia, którym przewodniczyć będzie dr. Józef Milleret, prezes lwowskiego Towarzystwa straży ochotniczej. Ponieważ Namiestnictwo zatwierdziło już statut Związku, który wystarcza w zupełności na pierwsze potrzeby zadania, przeto spodziewać się należy, że statut ten nie dozna żadnej zmiany, i Związek ukonstytuje się bezzwłocznie na jego podstawie. Jeżeli pogoda posłuży, to pochód delegatów z chorągwiami i muzyką z ratusza głównemi ulicami miasta, będzie niebywałem we Lwowie widowiskiem. Referat wszystkich wniosków na Zjeździe prowadzi sekretarz Towarzystwa lwowskiego, Rewakowicz Henryk, redaktor *Dziennika Polskiego*.

Literatura i sztuka.

— Wydawca „Tygodnia“ kończąc w tym roku zbiorową edycję dzieł Józefa Dzierzkowskiego, która została pomieszczoną w jego „Bibljotece powieściopisarzy polskich“ zawarł teraz umowę ze znakomitym naszym powieściopisarzem T. T. Jeżem, (Zygmuntem Miłkowskim) i dzieła jego po cenie nader przystępnej będą wychodziły od Nowego roku obok „Tygodnia.“ Czytelnicy wychodzącego dawniej „Dziennika literackiego“ przypomną sobie świetną powieść Jeża, *Wasyl Hołub*. Od tego czasu Jeż ogłaszał swoje prace w Warszawie, i dla tego Galicja prawie ich nie zna. A jednak takie utwory jak: Krwawe dzieje — Handzia zahornicka — Uskoki — Szandor Kowacz—Historja o prapradziadku i praprawnuku itd. to powieści zajmujące w piśmiennictwie polskiem miejsca bardzo wybitne. Obok powieści J. I. Kraszewskiego, największem powodzeniem w Królestwie polskiem cieszą się tylko powieści Jeża. Jesteśmy powni, że jeżeli którą to tę publikację naszą czytelnicy „Tygodnia“ powitają z prawdziwą radością.

— Akademja umiejętności w Krakowie rozesłała w tych dniach odezwę, wzywającą do wspólnej pracy nad słownikiem języka staropolskiego, do osób, znanych z zajmowania się lingwistyką polską. W nadziei, że i po za kołem wezwanych znajdą się niezawodnie siły, mogące się przyczynić do tego dzieła, podaje Akademja tę odezwę wraz z instrukcją do publicznej wiadomości z prośbą, aby ofiarujący się z chęcią przystąpienia do tej pracy, zechcieli w celu porozumienia, zgłosić się: Do komisji językowej Akademji umiejętności w Krakowie. Odezwa i instrukcja brzmi, jak następuje: Akademja umiejętności w Krakowie postanowiła między innemi ułożyć i wydać dokładny słownik języka polskiego, czerpiąc materjał do niego nie tylko z zabytków rękopismiennych i dzieł drukowanych po wszystkie czasy, ale i z żywej mowy ludu polskiego, dotąd pismem nie ujętej, jaką w różnych odmianach słyszeć można na całym obszarze krajów, stanowiących niegdyś ciało Rzeczypospolitej. Wszakże komisja, która się w tym celu zawiązała, zamierza przedewszystkiem, jako wstęp do owego wielkiego dzieła, wydać słownik języka staropolskiego, tj. głównie języka, jakim mówiono za Piastów i Jagiellonów, zatrzymując się w korzystaniu z dzieł drukowanych za czasów Rejowskich. W tej pracy przypadnie nam korzystać z zabytków języka wskazanego okresu, ogłoszonych drukiem, jak niemniej z tych, które dotąd w rękopismach pozostają. Znając zamiłowanie Wgo Pana w języku ojczystym i jego uprawie, mam zaszczyt zaprosić go w imieniu Akademji umiejętności do wspólnej pracy, według wskazówek dołączonych do pisma niniejszego, a tuszę sobie, że dzieło, do którego kilkudziesiąt gorliwych rodaków przyłoży rękę, niezadługo będzie mogło być wydanem. W Krakowie dnia 1. października 1875 r. Dr. Skobel, przewodniczący komisji językowej Akademji umiejętności.

— Album willanowskie, którego projekt datuje już od lat paru, bliskiem już jest ukazania się na widok publiczny. Zwłokę, jakiej uległo wydanie albumu, tłómaczą zupełnie ogromne roboty przygotowawcze do stu kilkudziesięciu drzeworytów mających ozdobić Album, oraz tekstu zawierającego dokładny historyczny opis ulubionej rezydencji Jana III i opisu cennej galerji obrazów znajdującej się w pałacu willanowskim. Ilustracje nie ograniczają się do samych widoków pałacu i parku, oprócz nich bowiem, album zawierać będzie rysunkowe reprodukcje celniejszych dzieł sztuki, zabytków historycznych i archeologicznych, których znaczna ilość znajduje się w Willanowie. Pomiędzy rycinami, jakie wejdą do albumu, niezmiernie interesującemi będą cztery kopje widoków Willanowa zdjętych w końcu zeszłego wieku przez Canaletego.

— Zakład p. Mieczkowskiego w Warszawie przygotowuje zbiór fotografij wszystkich ministrów sprawiedliwości i dyrektorów głównych,— począwszy od r. 1803, — który złożony będzie z 18 portretów. Szereg ten rozpoczyna portret Józefa Wybickiego powołanego do zarządu Wydziałem Sprawiedliwości przez Komisję Rządzącą przed utworzeniem Księstwa Warszawskiego, dalej idą: Feliks hr. Łubieński z r. 1807, Tomasz Wawrzecki r. 1813, Walenty hr. Sobolewski r. 1816, Franciszek Węgliński r. 1819 Marcin Badeni r. 1820, Michał Woźnicki r. 1824, Ignacy hr. Sobolewski r. 1825, jenerał Ksawery Kosecki r. 1831, Antoni Wyczechowski r. 1843, Onufry Wyczechowski r. 1844, Fryderyk hr. Skarbek r. 1854, Franciszek Drzewiecki r. 1858, Jan Kanty Wołowski r. 1861, Aleksander margrabia Wielopolski r. 1861, kasztelan Leon Dębowski, Teodor Wosiński r. 1862, i wreszcie obecny dyrektor główny Małkowski.

— Wielbiciele talentu Jana Matejki wręczyli mu w Krakowie medal pamiątkowy, na którego jednej stronie znajduje się popiersie artysty otoczone napisem: „Jan Matejko w Krakowie r. 1875“ na drugiej stronie wśród wieńca wawrzynowego napis: „Nową chwałą Ojczyznę przyozdobił,“ a dokoła wieńca: „Malarzowi historycznemu Rodacy.“

— W piątek d. 22. bm. odbył się w czytelni Akademickiej ostatni wieczorek muzykalno - deklamacyjny pod artystycznem kierownictwem p. Karola Mikulego, urządzony staraniem ustępującego Wydziału z r. 1874/5. Był to jeden z najświetniejszych wieczorków w tym roku. Nietylko bowiem co do doboru programu, lecz także co do wykonania mógł odpowiedzieć najwybredniejszym wymaganiom. Audytorjum składało się z profesorów uniwersytetu i rektora; przeważnie zaś napełniła salę młodzież, i to w tak znacznej liczbie, że szczupłe lokalności czytelni zaledwie ją mogły pomieścić. Po skończonym wieczorku, podziękował prezes czytelni p. Engel w imieniu członków tejże naprzód dyr. Mikulemu za starania położone około urządzania podobnych wieczorków, potem obecnym panom, którzy udział wzięli w koncercie, a nareszcie rektorowi i profesorom, że swą bytnością wieczorki zaszczycali.

— Znany rzeźbiarz warszawski, p. Bolesław Syrewicz, wezwanym został do Francji, do Macon, gdzie ma ozdobić fronton i wnętrze nowo budującej się bazyliki dwoma płaskorzeźbami, z których jedna wyobrażać będzie św. Dominika podającego Różaniec Najświętszej Pannie, drugi zaś — Chrzest Chrystusa w Jordanie.

Szkolnictwo.

— Samodzielne dotąd stanowisko galicyjskiej Rady szkolnej zostało zniesione. Rozporządzeniem cesarskiem z d. 23 października rb. postanowiono że dyrektorów w szkołach średnich będzie odtąd mianował cesarz, a nauczycieli minister oświecenia. Do ministra będą także należały sprawy służbowe całego ciała nauczycielskiego w ostatniej instancji.

— Dr. Karol Benoni, profesor szkół realnych we Lwowie, wyjechał za zezwoleniem ministra oświaty, na rok za granicę, w celu studjowania na najcelniejszych uniwersytetach nauki geografji.

— Pani z Wasilewskich Boberska, umieściła swój pensjonat przy placu dominikańskim, we Lwowie, w domu, gdzie dawniej były składy towarzystwa stolarskiego. Donosimy o tem, w odpowiedzi na kilka zapytań, a dodajemy zarazem, iż zakład ten od dawnych lat cieszy się wziętością, jaką mu osoba pani Boberskiej zjednała, wychowawszy znaczny zastęp czcigodnych żon, matek i gospodyń,

Zakład w Drohowyżu.

— Dnia 24 bm. został nareszcie uroczyście otwartym zakład dla sierot i ubogich, w Drohowyżu pod Mikołajowem, fundacji Stanisława hr. Skarbka. Gmach jest już prawie całkiem ukończony i wzorowo urządzony, a sierotek w tym roku przyjęto 120, od sześciu do ośmiu lat, która to liczba powiększy się z czasem do 400. Zakład ma zadanie kształcić sieroty w rzemiosłach. Wkrótce poświęcimy tej pięknej fundacji osobny artykuł; dziś przestaniemy tylko na wynurzeniu nadziei, że zakład zostający pod kierownictwem p. Juliusza Starkla stanie się pożyteczną instytucją.

Odkrycia i wynalazki.

— Robotnik administratora majoratu Glanów, w powiecie olkuskim, Nowak, orząc ziemię, znalazł kilkadziesiąt sztuk starożytnej monety srebrnej, jednego stempla i wartości. Moneta jest tej wielkości co dziesięciokopiejówka, brzegi jej w obwodzie na obie strony dość znacznie są wywinięte; z jednej strony wewnątrz małego koła utworzonego z kropek, znajduje się krzyż równoramienny, ramiona którego u góry oznaczone są wypukłemi kropkami, pomiędzy któremi jakby pomiędzy promieniami koła znajdują się jeszcze po dwie kropki; kropek tych jak należy mniemać, było dwanaście, stanowiących wewnątrz pomienionego koła kwadrat. Pomiędzy małym a wielkiem kołem, znajdującem się na samym brzegu monety, na około znajduje się starty obecnie napis. Na drugiej stronie monety, w środku tegoż koła, znajduje się wypukły krzyż kawalerski, w czterech przeciwległych końcach którego, pomiędzy ramionami, znajduje się po kropce a dwie z nich umieszczone są niejako w małych wycinkach, których łuki jednoczą się z okręgiem koła; zewnątrz tego ostatniego, w otoku monety, pozostały ślady jakiegoś napisu. Z porównania pomienionej monety, jak pisze *Dz. Gub. Kiel.* z wizerunkami znalezionych w rozmaitych czasach starożytnych monet polskich, opisanych w dziele Strończyńskiego: „Pieniądze Piastów, od czasów najdawniejszych do roku 1300“ (Warszawa 1874), okazuje się, że jest to denar srebrny, z czasów żony Mieczysława II, Ryksy, która po śmierci męża rządziła krajem w imieniu nieletniego syna swego Kazimierza (1034 do 1040). Z pomienionego dzieła okazuje się, że na zupełnie podobnych do znalezionej w Glanowie monetach, wykopanych w 1846 roku w ilości 170 sztuk około m. Grójca (w guberaji warszawskiej), był zupełnie czytelny napis z jednej strony RIXA, a z drugiej CRVX, przyczem po każdej literze znajdowało się po dwa znaki, w jakich *Dziennik G. Kiel.* dopatrzył zupełne podobieństwo do litery ruskiej D.

— Las podziemny odkryto pod łożyskiem Tamizy nie opodal miejscowości Chewy Garden Pier w pobliżu Londynu. Odkrycie to budzi najwyższe zajęcie archelogów angielskich. Las ten przedwiekowy składał się z dębów, olch i wierzb, które aż dotąd zachowały swe własności wegetabiliczne. Z rozmaitych oznak wnosić można, że las ten należy do epoki jelenia w południowej Anglji.

— *Russki mir* donosi, że niejaki Ławrentiew, ślusarz z profesji, wynalazł nową maszynę do szycia, ręczną, odznaczającą się małemi rozmiarami i taniością. Maszyna ta, nazwana przez wynalazcę „samoszyjącą“ ma kosztować w handlu najwyżej 5 rubli. Ławrentiew stara się o uzyskanie na swój pomysł patentu i następnie ma zamiar otworzyć fabrykę swoich maszyn, które tym sposobem zrobią niezmierną konkurencję wszystkim dotychczasowym zagranicznym maszynom do szycia.

Sport.

— Koń Tuszków, własność p. Stanisława Obertyńskiego, na którym porucznik ułanów p. Herb, przebył przed kilku tygodniami 60 mil w 83 godzinach, dostąpił tej nagrody za swą dzielność, że go odfotografowano w zakładzie Edera. Fotografię oglądać i nabyć można w handlu galanterji Mousil i Wilhelm, przy wejściu z placu Marjackiego w ulicę Teatralną.

ROZMAITOŚCI.

— Jeden z dzienników paryskich opowiada zabawną historyjkę z dziejów teatru de la Porte Saint-Martin. Teatr ten miał bardzo gorliwego reżysera, który lubił, ażeby w czasie przedstawienia wszystko co do sztuki należało wykonane było z największą punktualnością. Znający tę jego słabość aktorowie nieraz umyślnie splatali figla, który srogo dokuczył pedantycznemu reży-

serowi. Pewnego razu grano jakąś sensacyjną sztukę, w której bohaterem był dowcipny p. Melingue. W akcie trzecim „czarny charakter“ wyzywa bohatera na pistolety, a ten przyjmując wyzwanie, zmierzył się z pistoletu i zwrócony do przeciwnika, mówił: „Widzisz pan tę zapaloną świecę na stole? Dobrze! Uważajże tylko!“ — Palił z pistoletu, a świeca gasła, co miało oznaczać, że kula strąciła knot. Sztuczka ta robiła wielkie wrażenie, choć była bardzo prostą. Stół stał pod kulisą, w której zrobiony był mały otwór, i przez ten otwór reżyser w chwili wystrzału gasił świecę. Tym razem ktoś złośliwy nieznacznie zatkał otwór. Melingue pali z pistoletu — reżyser dmucha z całych sił, a świeca jak się paliła, tak się pali. Po sali rozlega się śmiech widzów, lecz Melingue nie traci głowy. „Nie wiem — powiada — co mi się dziś stało; nie jestem tak zręczny jak zwykle, drży mi czegoś ręka.“ Mówiąc to nabija pistolet powtórnie i zmierzając się znów do świecy, szepce ukrytemu za kulisami reżyserowi: „Dmuchajże pan u kata lepiej!“ Daje ognia — lecz znów z tym samym skutkiem co pierwszym razem, gdyż świeca ani drgnęła. Nowy wybuch śmiechu i pukanie na sali, a biedny reżyser bliski już rozpaczy. Mechanicznie dotknął palcem otworu w kulisie, i nie wiedząc o tem zupełnie usunął łupinę z cebuli którą był zatkany. Melingue klnąc pod wąsem pistolet, świecę i cały aparat sceniczny, najwięcej zaś nieszczęśliwego reżysera, nabił po raz trzeci. Reżyser w obawie, że i nowy wystrzał będzie bez skutku, wetknął usta w otwór i cały zapas ducha wysłał z płuc ku świecy. Świeca zgasła — a w tejże chwili — pistolet Melingu'a spalił na panewce.

— W sobotę, 16 października, w alejach lasku Bulońskiego w Paryżu, zwracał na siebie uwagę wszystkich przechodniów elegancki kabrjolet, przebiegający szybko ulice bez koni. Był to ekwipaż parą poruszany, nierobiący w biegu żadnego hałasu i wykonywający wszelkie obroty z niezmierną łatwością. Konie powozów spoglądały zdziwione, lecz nie przestraszone wcale, na ów kabrjolet, który na znacznej przestrzeni nader zręcznie wymijał po kilka razy tramwajowe omnibusy i w największym tłoku bez trudu wynajdywał sobie drogę. Publiczność patrzyła ciekawie, w końcu wybuchnęła głośnemi okrzykami i oklaskami. Kabrjolet pochodzi z Mans. Został wynaleziony i zbudowany przez jednego z tamecznych fabrykantów, Ernesta Bollée, ktory zbudował go na własny użytek. Minister robót publicznych Caillaux, i margrabia de Talhouet, usłyszawszy o wynalazku, pragnęli go poznać. Minister, który jest z powołania inżynierem, zbadawszy nowy wynalazek, oświadczył, że problemat maszyn drożnych jest rozwiązany, i udzielił wynalazcy pozwolenie jeżdżenia po ulicach wszystkich miast nie wyłączając Paryża. Korzystając z tego upoważnienia wynalazca przyjechał do Paryża, jadąc z szybkością czterech lieues na godzinę, i zużywając tylko za trzy franki węgla.

— Żona księcia serbskiego Milana, jest jedną z najpiękniejszych kobiet w Europie. Powiedzieć o niej można to, co mówiono o księżnej Belgiojoso, iż pochodzi ona od bogiń partenońskich. Oczy ma wschodnie, długie czarne włosy, i dumę właściwą swemu rodowi. Nie wiele kobiet dorównać jej może pod względem braku wszelkiej zalotności. Nigdy nie nosiła klejnotów, nigdy najcieńsza warstwa pudru nie pokryła jej twarzy, nigdy włos fałszywy nie zamięszał się do jej bujnych splotów. Na czoło jej spływają małe zwoje naturalnie kręcących się włosów, ciemne zaś warkocze ułożone są z wielką prostotą na wierzchu głowy. Przybywszy do Paryża dla zrobienia wyprawy, księżniczka poleciła, ażeby prócz koronek nie dodawano żadnych ozdób do jej sukni.

— Anglik Hamilton urządził sobie w Cobham, w hrabstwie Surrey, wielki park, w którym znajdowała się także maleńka pustelnia. Otóż dla powiększenia jeszcze romantycznego uroku tej miejscowości, zachciało się Hamiltonowi mieć także żywego pustelnika. Jął więc szukać podobnego za pomocą pism publicznych, a to pod następującemi warunkami: Przyjmujący posadę pustelnika, zobowiązać się miał na lat 7 — po upływie których obiecano mu wypłacić 700 gwinej. Nie wolno mu było jednak nic sprowadzić ze sobą, oprócz Biblji, okularów, teleskopu, maty na posłanie, woru wypchanego słomą na poduszkę, i klepsydry, mającej mu służyć za zegar. Napojem jego miała być jedynie woda ze strumienia, przepływającego obok jego celi; jadło miał odbierać codzień z rąk sługi, któremu surowo zakazano mruknąć choć słowo. Powinien był poprzestać na ostrym mniszym habicie za strój cały; nie wolno mu było nigdy obcinać paznogci ani golić się; na nogach miał nosić sandały. Pokazywać się ludziom miał tylko w oznaczonym obrębie. I znalazł się istotnie ktoś, skuszony 700 gwinejami — ale wytrzymał tylko.... 3 tygodnie. Potem już nieszczęsny Hamilton nigdzie nie mógł znaleść pustelnika.

— Zwyczaj noszenia pierścieni sięga głębokiej starożytności; znajdujemy go już u Egipcjan, Izraelitów, Greków i Rzymian. Pochodził on z nawyku noszenia przy sobie pieczęci, którą najłatwiej było w pierścieniu umieścić. I w tem to właściwie znaczeniu, zamieniali między sobą pierścienie kochankowie, chcąc dać poznać że zawarty związek będzie tak niezłomny, trwały i ważny, jak akt opatrzony pieczęcią. Pierwsi chrześcijanie wzięli tę symbolikę od pogan. Przed ślubem błogosławił kapłan obrączki w imię Ojca Syna i Ducha Świętego, i wśród szczególnych ceremonij na palce oblubieńców je wkładał. Na którym należało je nosić palcu, było to przez czas długi przedmiotem poważnych, naukowych nawet rozpraw. Najdowcipniejsze rozwiązanie tej kwestji podał stary pisarz Isidorus: — „Na czwartym palcu powinno się nosić symboliczny pierścień, ten bowiem palec mieści w sobie żyłę, pozostającą w najściślejszym związku z sercem.“ Najnowsza wiedza rozwiała niestety to złudzenie, oświadczając, iż wszystkie żyły ludzkiego ciała w jednako ścisłym związku z sercem zostają. Jedyną zaś na dzisiaj i wielce pożyteczną radą, jest nosić pierścień na palcu na którym... najmocniej siedzi!

— Wielki astronom Izaak Newton († 1727) wybrawszy się raz na przechadzkę, napotkał owczarza, który ujrzawszy go, zawołał: „Spiesz się pan do domu, bo za chwilę przeraźliwy deszcz cię spłucze!“ Na niebie nie było ani jednej chmurki, Newton więc nie dowierzając przestrodze, ruszył dalej... Ledwo jednak minęła godzina, a z czystego nieba spadła obfita kąpiel na naszego filozofa. „Rzecz dziwna — rzekł wtedy do siebie — zkąd ten pastuch jest tak wybornym meteorologiem. Trzebaby się go o to spytać — a nuż wpadniemy na jakie odkrycie!“ Przemoczony tedy do nitki, powraca na owe miejsce spotkania i wywoławszy z chaty owczarza, rzecze: — Słuchaj, staruszku, oto gwinea, jeśli mi powiesz, jakim sposobem z taką pewnością możesz deszcz przepowiedzieć. — „Najchętniej — odrzekł owczarz — uważaj pan tylko. Skoro mój czarny baran obróci się tyłem do wiatru, bądź pan pewny za godzinę deszczu“ — Co?! — zawołał sławny matematyk — dla dowiedzenia się tedy zawczasu o niepogodzie, musiałbym tu stać i czekać aż twój czarny baran tyłem się odwróci!... — „Tak jest, czcigodny panie, innego sposobu nie ma.“ — No, to masz gwineę i niech szatan porwie twoje obserwatorjum! — zawołał rozdrażniony filozof, odchodząc pospiesznie.

— Markus Meibom, urodzony w Tonningen w Szlezwigu w r. 1530, znany jako filolog z wielkiej biegłości w językach starożytnych, oraz wydawca wielu greckich pisarzy o muzyce traktujących, miał tak silne przekonanie o doskonałości greckiej i łacińskiej muzyki, iż wyprosił sobie u uczonej królowej Swedzkiej Krystyny, pozwolenie wyrobienia pewnej liczby instrumentów używanych u starożytnych. Instrumenta udały się świetnie i nasz uczony postanowił użyć ich na koncercie antycznym, którym zamierzył królowę uraczyć, sam wziąwszy na siebie partję śpiewu, mimo wcale nieprzyjemnego głosu. Zaledwo jednak koncert się zaczął, i Meibom dał słyszeć pierwsze nuty swojego pięknego śpiewu, cały dwór parsknął śmiechem i jednogłośnie uznał muzykę za przerażającą. Wypadek ten wprawił Meiboma w takie oburzenie, iż w uniesieniu dopuścił się czynnej obrazy względem obecnego, młodego doktora królowej, Bourdelota, mając go za herszta śmieszków. Niełaska i wygnanie były zapłatą tego męczennika archeologji.

— W klasztorach buddyjskich istnieje stary zwyczaj, — niegdyś i w chrześcijańskich często spotykany — iż mnisi w przedmiotach duchownych zacięte toczą dysputy. A odbywa się to w dosyć oryginalny sposób. Po skończeniu modlitwy ogólnej, występują dwaj zapaśnicy, w kapłańskiej maleńkiej czapeczce na głowie i żółtym płaszczu zakonnym. Jeden z nich ma długi bicz w ręku, z którym staje wprost ołtarza przed przeciwnikiem, stojącym przy wejściu do świątyni „Posto“ — i stawia mu rozmaite kwestje. Dysputa zaczyna się chłodno, ale po kilku już minutach dochodzi do zażartej kłótni. Wyzywający do dysputy krzyczy jak opętany, grozi, miota się, ściska pięści, słowem niezaniedbuje żadnego środka, do zbicia z tropu swego antagonisty. Jeżeli się temu ostatniemu uda, każdy atak odeprzeć nieustraszenie, otrzymuje tytuł zwycięzcy i wynagrodzenie; w przeciwnym zaś razie, wyzywający na dysputę ma prawo obić go swym biczem za nieświadomość i brak dowcipu. Buddyjskie księgi religijne z powodu swego drobnostkowego i scholastycznego charakteru, dostarczają do takich walk niewyczerpanego materjału.

— Niedawno pewien robotnik zasypany został w jednej z kopalń saskich, a po upływie pięciu dni szczęśliwie odgrzebany. Wyratowany tak opisuje w „Dresd. Journal“ swoje wrażenia: „Ponieważ w chwili katastrofy zgasła moja latarenka, zacząłem rękami macać w około siebie, ażeby w ciemności zbadać, jak wielka pozostała mi przestrzeń do życia lub na grób. Przekonałem się, że utworzył się nademną rodzaj sklepu, tak niskiego, że wyprostować się nie mogłem. Sklep ten powstał w ten sposób, że spadające masy urwiska sparły się o kilka złożonych w tem miejscu futryn. Nabyłem wnet przeświadczenia, że futryny nie ulegną pod brzemieniem przytłaczającego je węgla. Przedewszystkiem jednak usunąłem kilka luźnych brył wiszących nad moją głową poczem przez powstałe tym sposobem szczeliny wołać zacząłem z całych sił o pomoc. Przekonawszy się, że na nic się to nie zdało, ponieważ najsłabszy nawet głos odpowiedzi z zewnątrz nie dochodził, usiadłem, w duszy polecając się Bogu. Wkrótce usłyszałem wyraźnie, że po jednej stronie pracują nad usunięciem gruzu i nadzieja wstąpiła znów we mnie. Pierwszy przestrach śmiertelny ustąpił zupełnie: tylko od czasu do czasu, gdy nowe urwiska ze strasznym łoskotem staczały się na moją kryjówkę, ogarniał mnie smutek, wiedziałem bowiem, że przez to opóźni się chwila mojego wydostania się na świat. Dość gorąco było w mojej kryjówce; ztąd zapewne w pierwszej chwili pot kroplisty wystąpił na mnie, przeszło to jednak prędko. Głodu nie czułem wcale, natomiast paliło mnie przeraźliwe pragnienie. Usta pokryte grubą warstwą pyłu węglowego, oschły i popękały. — Wypiłem przeto olej z mej lampki i ustami wyssałem knot, co mi pewną ulgę sprawiło. W oddychaniu nie doznawałem żadnych trudności, a tylko gdym po przespaniu się chciał powstać z ziemi, uczułem taką ciężkość w głowie, że się podźwignąć nie mogłem. Jedno atoli zauważałem, iż po dotknięciu ręką ścian mej kryjówki ukazywał się na nich przelotny smug świetlany. Stukania pracujących nad odgrzebaniem mnie stawały się coraz wyraźniejszemi. W końcu mogłem się już porozumieć ze zbawcami moimi. Zapytałem o czas, odpowiedziano mi, że jest poniedziałek, 10 godzina w wieczór. Zostawałem pod ziemią od środy, a zatem pięć dni, co zdało mi się niemożliwem, miałem bowiem to uczucie, że nie dłużej nad dwie doby żywcem byłem pogrzebany. Na drugi dzień nad ranem otwór był przebity, a lubo bardzo wąski, nie czekałem na rozszerzenie go, lecz wypełznąłem nim na świat. — Byłem uratowany!“

Odpowiedzi Redakcji.

D. O. w Krakowie. Gdyby forma była lepszą chętnie byśmy umieścili.

M. N. w K. poczta Przemyśl. Uczynimy zadość życzeniu; prosimy przysłać.

Treść Nr. 44.

Z drukarni A. J. O. Rogosza (Dziennika Polskiego).